

Kamena

LUBLIN 4 I 1981 NR 1 (721)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

PL ISSN 0137-7108

CENA 3 ZŁ

Henryk J. Kozak

PŁONIE POD POWIEKĄ

synom

Ten obraz wciąż tli się pod powieką
jest lato i zmierzch idę boso
w ojcowskiej porwanej kapocie
ścieżką wśród płotów
i wymachując szablą
kijem sękatym
ścinam głowy glinianym garnkom
które wygodnie i stadami
jak jakieś dziwne sroki
rozsiadły się na sztachetach

A za mną z chałup wybiegają
babacie stuletnie podwórek strażniczki
stają w furtkach rozwartych
i drą się na wieś całą
że to znów ja
ten cholerny bachor kozaków
i kto go wreszcie ze wsi przepędzi

Panem Bogiem mnie straszą
piekielnymi mękami
a ja przez sady uciekam
w parujące łąki
i do późnej nocy leżę w trawie
tylko z gwiazdami
i udaję że nie słyszę głosu
nawołującej mnie matki

Dopiero nad ranem
rudym lisem
wślizguję się do domu

Pamięć tego obrazu
pamięć odeszłych bajek
pamięć o tych staruszkach
mądrych i dobrych
pamięć ich pieśni

już nigdy potem piękniejszych nie słyszałem
niech trwa
niech mi ogniskiem płonie pod powieką

Nie ma socjalizmu bez demokracji

ROZMOWA Z PROF. ANDRZEJEM BURDĄ

IRENEUSZ J. KAMINSKI: — Encyklopedia powszechna PWN podaje, że zajmuje się pan prawem państwowym i historią doktryn politycznych, wykładając na UMCS od 1950 roku, gdzie pełnił pan ponadto funkcję prorektora, a następnie rektora tej uczelni, aby w 1957 roku zostać powołanym na stanowisko Prokuratora Generalnego PRL. W jakich okolicznościach objął pan tę wysoką funkcję państwową?

ANDRZEJ BURDA: — Po październiku 1956.

IRENEUSZ J. KAMINSKI: — No tak, ale szefem Prokuratury Generalnej nie zostaje się zautomatycznie z tytułu profesji naukowej. Musiał pan posiadać w określonym układzie politycznym...

ANDRZEJ BURDA: — Byłem wówczas członkiem PZPR z biografią obejmującą działalność w „Wici” (od 1931 roku), w Komunistycznej Partii Polski (od 1934 roku) i konspiracyjnej „Polsce Ludowej”, która powstała już w 1940 roku. Z tej krakowskiej organizacji razem z Ignacym Fikiem, Mieczysławem Lewińskim i innymi zgłosiłem akces do Polskiej Partii Robotniczej. Przez dwa lata redagowałem poza tym podziemną „Trybunę Ludową”. Po wojnie pełniłem funkcje administracyjne, aby ostatecznie przejść do pracy naukowej, doktorat uzyskałem na Uniwersytecie Jagiellońskim w 1948 roku.

IRENEUSZ J. KAMINSKI: — Faktycznie, rekomendacje miał pan znakomite. Proszę tylko jeszcze wyjaśnić, dlaczego, jak to się mówi, poświęcił się pan nauce? Czy wyłącznie zadczydo-

Dokończenie na str. 7



Fot. Waldemar Stępień

W SPRAWIE IMPORTU TECHNIKI

Fascynacja i rozsądek

Lesław A. Paga

KIEDY podejmujemy się oceny techniki i technologii, zawsze musimy pamiętać o tym, że nasze poglądy mogą być w sprzeczności z poglądami innych. Jest to chyba ciekawy symptom zjawiska, które można nazwać emocjonalnym stosunkiem do techniki, często wręcz podobnym do naszego stosunku do istot żywych.

Uważam, że potrzebna jest nam pogłębiona, racjonalna refleksja wobec techniki, a szczególnie transferu techniki z krajów o wysokim jej poziomie. W tym zakresie pojawiło się szereg „mitów”, o różnym zresztą stopniu niebezpieczeństwa dla naszego społeczeństwa. Zwłaszcza ostatnich dziesięć lat było najlepszym przykładem, jak można bałwachać i traktować technikę. Po prostu fetyszyzowano ją, widziano jako lekarstwo na różne niedomagania gospodarki.

Przypomnijmy trzy podejścia do techniki znane z literatury. Pierwsze traktuje rozwiązania techniczne jako swoistą formę fetyszu i jest typowe dla wielu krajów słabo rozwiniętych. Konsekwencjami tego podejścia są: niepełne rozeznanie co do ekono-

micznej celowości zastosowania danej techniki oraz zupełna ignorancja co do kulturowych i społecznych konsekwencji jej realizacji.

Drugie określane jako ekonomiza-

cyjny, polega na wyliczeniu rzeczywistych relacji między poniesionymi nakładami a efektami uzyskanymi z tytułu wprowadzenia nowej techniki. Przy tym podejściu uwzględnia się ekonomiczne konsekwencje związane z transferem nowej techniki (w sensie kosztów infrastruktury,

rozwoju bazy budowlanej, sfery usług itp.).

Trzecie podejście do techniki wiąże się z wartościowaniem jej ze względu na efekty społeczne, kulturowe, ekologiczne. Specyfiką tego podejścia jest ocena zastosowań danej techniki również ze względu na konsekwencje wtórne czy trzeciorzędne.

Jeśli chcielibyśmy, biorąc za podstawę powyższy podział, określić typowy dla nas stosunek do techniki, to niestety trzeba by było szukać wielu cech w pierwszym podejściu i zaledwie kilka w podejściu drugim. Hasła humanizacji techniki pozostają w Polsce głównie w sferze teoretycznych rozważań i ciekawe, że kiedy poszczególne zespoły badawcze podejmują próby oceny danej techniki ze względu na jej ekologiczne i społeczne konsekwencje, prawie zawsze odpowiada się na te propozycje stwierdzeniem, iż nas na humanizację techniki nie stać.

Przyjrzyjmy się zatem, na co nas stać i jakie są tego konsekwencje? Polityka władz centralnych, preferuje-

Dokończenie na str. 4-5

21 XII (1980 — Jeszcze).

Pogania mnie Irena, techniczny redaktor, a właściwie redaktorka „Kamery”, abym szybko zamykał notatnik, bo z powodu świąt ileś tam dni z harmonogramu druku ubywa. Numer ukaże się w połowie przyszłego tygodnia, a tu już prawie całość na ostatni guzik zapięta i tylko ta druga strona ciągnie całą robotę do tyłu. Ba! Zamknij tu, człowieku, notatnik, zamknij wtedy, kiedy go jeszcze nie otworzyłeś! Życie jest jednak brutalne: trzeba odwrócić oczy od telewizora, gdzie właśnie Reszot hokejowy turniej „Izwestii” komentuje, i bardziej z konieczności niż z potrzeby usiąść przy maszynie, by nieco się uzwewnętrznić. A odpowiedzialność tym większa, bo Leszek Gnot z bratniego „Kurieru” zamilkł już od dłuższego czasu. Uważa, że może nie pora pisać teraz trzygrozowe felietony, gdy stawka idzie o miliardy i to nie groszy, nie złotych nawet, ale dolarów. Na każdym z nas, ze starcami i niemowlętami włącznie, spoczywa ciężar 650 sztuk zielonych. Dolary, skwapliwie w ostatnich dziesięcioleciu na krajowym koncie w rubryce „winien” zapisywane, miały nam przynieść eldorado. Okazało się jednak, że obudziliśmy się — jak mówi Leszek — z ręką w nocniku. Nowe kierownictwo kraju, obywatelnie łańcuchem gigantycznego długu, głowi się teraz jak zagospodarować rdzewiejące urządzenia, a my z kolei, zwykli zjadacze chleba, tocimy boje o herbatniki i kaszanke, bo w końcu nie samym chlebem człowiek żyje.

Przywódców najlepiej się ocenia, kiedy zjedzą nie tylko ze sceny politycznej. Nie wiadomo jednak nigdy, kto kogo przeżyje, zwłaszcza gdy cyklicznie powtarzające się wstrząsy nadwężają zdrowie, a permanentne braki na półkach aptecznych uniemożliwiają regenerację organizmów. Dlatego już dziś chciałoby się wiedzieć, jak to się stało, że kraj, że naród wyprawiony został w maliny.

Zanim wypowie się historia, zabiera głos Jerzy Putrament. Na łamach „Życia Literackiego” udziela wywiadu, w którym znajdują taki fragment:

Co było podstawowym błędem Gierka? [...] Ja zalem chyba dość dobrze Bieruta, Gomułka i Gierka. Coś ich łączy. Bierut był przeciętny, ale przywoity. Doradców miał wyśmienitych. Gomułka był wybitną indywidualnością, ale doradców miał fatalnych. Gierek miał charakter Bieruta, a doradców takich jak Gomułka. Popelniał błędy nie z powodu jakiegos demonicznego charakteru bo go nie miał, ale z powodu przerażającej trywialności... O Gierku pisać trudno. Być może korzeni jego polityki, stylu rządzenia trzeba szukać w środowisku francusko-belgijskiej emigracji, w której się wychował. Może się stać, z poczucia własnej weryfikacji wobec np. kultury francuskiej bierze ta żalona wizja kultury narodowej, którą Gierek posiadał. Może stąd płynie jego stosunek do katolicyzmu, rozumianego w sposób ogromnie uproszczony. Błędna, rozbrajająca zupełnie partię, okazała się przyjęta przez Gierka formuła o moralno-politycznej jedności narodu. Jeśli to była prawda — skąd tyle mówimy teraz o siłach antysocjalistycznych? Gierek partię znaturalizował, rozbroił. Nie przez złą wolę. Przez nowieruchowość myślenia. Gierek nie jest tragiczny, raczej groteskowy. Bardzo tragiczny był Gomułka. Gierek bardzo lubił dwór i dworaków, to była jego słabość. Prowadziło to do korupcji na wszystkich szczeblach hierarchii. Zwalazcza po absurdalnej reformie administracyjnej i powołaniu lokalnych kacyków. Prowadziło to do inflacji pieniądza i wszystkich innych, niematerialnych także, wartości.

Charakterystyka jest dosadna w słowach, ale całej prawdy w pewności nie zawiera. Obok niezmiernie zagmatwanej problematyki krajowej istnieje i zagraniczna, a tą Gierek, zwłaszcza w ostatnich latach, zajmował się szczególnie. Pewne inicjatywy Polski na arenie międzynarodowej zrosły się z jego nazwiskiem. Jeśli to jego osobista zasługa, nie przekreślajmy tego, jeśli doradców — nie wrzucamy ich wszystkich do jednego worka.

Nasz naród, cokolwiek by się o nim poza granicami mówiło, i cokolwiek by się w kraju działo, należy raczej do cierpliwych, ale pieniądze się zaczyna, gdy widzi, jak oficjalna propaganda rozmija się z rzeczywistością. Gdy niesprawiedliwość społeczna nie uwiiera, ale boli. Taki Tyrański, który tylko dzięki protekcji wywindował się wysoko, i którego nazwisko obok nazwiska Szczepańskiego stało się ponurym symbolem, potrafił na przyjęcie z udziałem Ważnych Osobistości wysłać samochód z Warszawy do Berlina zachodniego po zakup różnego rodzaju delikcji. Oczywiście służbowo i na wiadomy koszt. Ważne Osobistości tego nie widziały? Nie domyślały się, że coś tu może nie grać?

Z Lublina do Berlina zachodniego raczej już nikt po frykasy nie jeździł, ale Mniej Ważne Osobistości mogły czasem uczestniczyć w polowaniach z nagonką. W swobodnej atmosferze łatwiej uzyskiwało się obietnice otrzymania funduszy i tzw. względy.

Pał jednak lichy polowania, ale jeśli proces odnowy chcemy szybko uwiarygodnić, należy przyspieszyć podliczanie naszych własnych podtyrańskich, a wynik dochodzeń natychmiast podać do publicznej wiadomości, by społeczeństwo ze sformułowania „byli prominent” nie tworzyło sobie szarad rozwiązywanych w kolejkach.

Mówi się wokół, że proces odnowy sprawnie postępuje u góry i u dołu, natomiast na średnich szczeblach władzy przebiega już bardziej opieszale. Niedawno, jako lektor KW PZPR, uczestniczyłem w zebraniu podstawowej organizacji partyjnej przy służbie sterowania jakością w Fabryce Samochodów Ciężarowych. Członkowie POP energicznie domagali się spotkań z kompetentnymi przedstawicielami wojewódzkiej instancji partyjnej, występowali przeciwko tworzeniu się zwartych klik, wymieniali konkretne nazwiska osób, które miały sobie po niższych cenach remontować mieszkania. Nazwisk tych nie wymieniam publicznie, bo wszystkie zarzuty trzeba dołączyć sprawdzić. Nie mniej, ponieważ nazwiska padły, czuję się w obowiązku przekazać je komu należy.

„Sztandar Ludu” zamieścił niedawno informację, z której wynika, że iluś tam ludzi z wierchołków szybciej, niż powalają na to przepisy, brało kolejne talony na samochód. Ale jedni przecież brali, a drudzy dawali. Dawali, bo mieli, bo dawali byli władni. Dlatego w problem wejrzalbym bardziej wszechstronnie i rozliczył sprawiedliwie.

Wszystko to nie są sprawy bynajmniej blache, choć, oczywiście, są obok nich i znacznie poważniejsze, do których zaliczam sprawę przewodniej roli partii, wspólnego zastanowienia się nad tym, co należy uczynić, jakich trzeba dokonać zmian w samym statucie, by przetasować w hierarchii najwyższej i w średniej nie musielibyśmy już nigdy dokonywać w chwilę, gdy przychodzi nam wszystkim balansować na linie.

Dyskusja na ten temat trwa w całej Polsce, niekiedy formułowane są teorie krajowe, które w moim przekonaniu, gdyby się wcieliły w życie, mogłyby zepchnąć partię na pozycję socjal-

demokratyzmu. Mam tu na myśli pewne inicjatywy łódzkie. Ale nie mam nic przeciwko temu, by, jak proponują na łamach „ItD” młodzi naukowcy z Torunia, żądać informacji o tym, jakie funkcje obejmują osoby, które opuściły eksponowane stanowisko i postuluwać ujawnianie dochodów i stanu majątkowego osób pełniących wysokie funkcje społeczne. Rumuni to już zresztą robia.

Wydaje mi się, że byłoby dobrze we władzach partyjnych każdego szczebla ograniczyć uczestnictwo do dwóch kadencji, likwidując zarazem, a to się już robi, równoczesne pełnienia kierowniczych funkcji partyjnych oraz państwowych i gospodarczych. Wiek również ma swoje prawa: 65 lat powinno stanowić barierę dla wszystkich obywateli. Ale z doświadczeń działaczy — emerytów należałoby i później korzystać, tworząc grupy seniorów z głosem doradczym, często niezbędnym.

(Na marginesie dodam, że nasz kolega redakcyjny, Henryk Pająk, proponował w „Tygodniku Kulturalnym”, by zrezygnować z dziennikarstwa po pięćdziesiątce, czego nie traktował „jako marny dowcip, lecz nieludzką konieczność”. Samemu Pająkowi do tej pięćdziesiątki już niewiele pozostało. Zobaczymy, czy za kilka lat nie zmienią zdania, świecąc własnym przykładem).

Postulowałbym również, aby sekretarz każdego szczebla był wybierany w tajnym głosowaniu spośród minimum dwóch kandydatów. Wzmocniłoby tu autorytet wybranego, a jednocześnie tych, którzy w samym akcie głosowania uczestniczą. Zdemokratyzowaniu powinien również ulec sam tryb wybierania delegatów na poszczególnie partyjne konferencje wyborcze.

Osobną sprawą to aparat partyjny, który często bardziej woli biurko i telefon w Czerwonym Domu niż bezpośrednie kontakty z ludźmi w miejscu ich pracy. Szerzej należałoby sięgać po aktywistów z doświadczeniem, skończyć z kultem dyplomu, bo umiejętność rozmowy bywa tu potrzebna, a nie umiejętność pisania, podliczania i zdalnego instruowania. Nie ma, przynajmniej w teorii, zawodu: pracownik aparatu. Dlatego powrót na dawne miejsce pracy powinien być traktowany jak oczywistość. A na stanowiska dyrektorów kierujmy prawdziwych fachowców, niezależnie od ich przynależności partyjnej czy... nieprzynależności.

Trzeba też wyraźnie wzmocnić rolę plenarnych posiedzeń komitetów wojewódzkich, wybierając doń ludzi nie tylko według tzw. klucza. Ci z klucza lubią niekiedy kluczyć i błędzić, a prawdziwego pożytku nie zawsze z nich zbyt wiele.

Postulować można i należy. Jest nadzieja, że przed IX Nadzwyczajnym sporo spraw się załatwi, choć na pewno proces przemian nie będzie przebiegał bezkonfliktowo. Stare nawyki ciążą, nowe rodzi się w bólach.

Karol Marks pisał kiedyś, a słowa te, jak i wiele innych myśli tego genialnego teoretyka blyszczą teraz pełnym blaskiem:

Podobnie jak w życiu prywatnym odróżnia się to, co jakiś człowiek mniema i mówi o sobie, od tego, czym jest i robi w rzeczywistości, tak samo w walkach historycznych jeszcze bardziej odróżnić należy frazesy i urojenia partii od ich rzeczywistej istoty i ich rzeczywistych interesów, odróżnić wyobrażenia, jakie mają o sobie, od ich realnej treści.

Walkę historyczną przeżywamy teraz, jesteśmy w samym środku wielkiego boju o przyszły kształt naszego kraju. Nieco zmieniając modne w 1944 roku powiedzenie, można, dziś stwierdzić: „Gierkowo przychodzi i odchodzą — partia pozostaje”.

M. A. Jaworski

Czy książkę Radziwiłł może być demokratą?

WIELE osób zastanawia się nad tym, co jest decydującym ogniwem zamierzonej reformy gospodarczej. Padają tutaj różne odpowiedzi: metody planowania, sposób zarządzania przedsiębiorstwami, system ekonomiczno-finansowy; są wreszcie tacy, którzy twierdzą, że o powodzeniu reformy będzie decydować jej kompleksowość. Dla następnych pokoleń wiążące być może będzie rozstrzygnięcie władzy, która wśród jedenastu zespołów problemowych numer pierwszy przydzieliła zespołowi do spraw struktury organizacyjnej gospodarki.

Szacunek dla władzy nakazuje bliżej przyjrzeć się zasadom tworzenia struktur organizacyjnych i kierowania nimi. W kwestiach tych toczy się spór między dwoma koncepcjami: mechaniczną i organiczną. Pierwszą z nich uogólnia doświadczenia największej, XIX-wiecznej organizacji — armii. Według niej, istnieje musi centralny ośrodek dowodczy, który, posiadając wszelkie potrzebne informacje, koncentruje w swoich rękach gros decyzji. Rozchodzące się w dół na kształt piramidy organa wykonawcze otrzymują ścisłe, jednostkowe zadania i rozliczane są z ich dokładnego wykonania. Koncepcja druga sugeruje tworzenie luźnej struktury organizacyjnej, gdzie brak jest ścisłego rozgraniczenia między generałami i szeregowcami. Organizacje tworzą samodzielne i samokontrolujące się zespoły, które rozliczane są z realizacji ogólnych celów swojej działalności.

W obydwu przypadkach organizacje działają zgodnie z prawem adaptacji Le Chatelliera, głoszącym, że każdy system dąży do zmian sprowadzających do minimum oddziaływania zewnętrzne. Ale każda z tych organizacji robi to inaczej. Twory organiczne — przez swobodę działania elementów, które mogą szybko reagować na zmiany otoczenia. Mechaniczne — przez ujednorodnienie rzeczywistości, w której działają. Problemem nękaącym de Gaulle'a, jak rządzić krajem, gdzie istnieje tysiąc gatunków sera, jest tutaj łatwo rozwiązywalny, trzeba sprawić, by ser był najwyżej w dwóch odmianach asortymentowych.

Nieco odrębną sprawą są tzw. typy kierowania. Na ogół wyodrębnia się trzy, różniące się sposobem podejmowania i przekazywania decyzji: typ autokratyczny, demokratyczny i mieszany. Ponieważ ten trzeci przypomina mięso kulinarne częściowo nieświeże, skoncentrujemy się na dwóch pozostałych. W obrębie nich można wyodrębnić przypadki ekstremalne. Pierwszy to degeneracja leseferystyczna, oparta na założeniu, że wszystko, co dzieje się samo, dzieje się najlepiej. Drugi to degeneracja totalitarna lub hiperautokratyczna. (Nie bardzo zgadzam się z lansowaną ostatnio nazwą „władza paternalistyczna”, gdyż osobiście miałem bardzo liberalnego tatusia i dzięki temu wyrosłem na ludzi). Hiperautokrata bazuje na założeniu, że podwładni to durnie i tylko stała ingerencja szefa może uratować organizację od niechybnego rozpadu.

Jak można się domyślić, między typami i koncepcjami kierowania zachodzi ścisły związek. Aprobata dla mechanicznego podejścia tworzy zapotrzebowanie na autokratów, dominacja ujęcia organicznego — na demokratów. Ale nie są to jedyne czynniki, kształtujące typ kierowania, co postaram się pokazać na historycznym przykładzie. Książkę Radziwiłł — Panie Kochanku, wracając z zakrapianej kurso-konferencji, wyładował kolosą w rowie ściekowym. Gdy poddał wyciągnął go z ekstremów, z wdzięcznością zawołał: „Chłopi, ja wam za to most zbuduję”. „Wasza wysokość — odparli pańszczyźniani — ależ tutaj nie ma rzeki”. „To nic, rzekę też wam zbuduję” — zakończył rozmowę książkę.

Imię Panie Kochanku jawi nam się w tej historyjce jako niebezpieczny autokrata z silną skłonnością do woluntaryzmu. A co powinien czynić, gdyby był leseferystą? Winien przestudiować mapę i wybrać drogę powrotu przez wsie, w których są rzeki i sprawnie działają rowy melioracyjne. Oszczędziłby w ten sposób na kosztach swoich decyzji i mógłby spokojnie staczać się do rowów. Ze względu na pochodzenie nie mógł jednak być demokratą. Jeżeli już jednak nim byłby, to wyciągnięty z szamba, dalby wybawcom możliwość wyboru rekompensaty. Z jego punktu widzenia byłoby zgola obojętne, czy jest to most, dom kultury, czy też talony na ciagniki. Ale w tym, jak widać, też jest problem. Bo nie tak łatwo nagle stać się demokratą.

emzet

POROZUMIENIE pomiędzy strajkującymi robotnikami z Gdańska, Szczecina i Jastrzębia a przedstawicielami rządu opinia publiczna nazwała umową społeczną. Dla społeczeństwa polskiego porozumienia te stawały się fakt polityczny, którego doniosłość i znaczenie będzie można ocenić dopiero z pewnej perspektywy historycznej. Dla badacza myśli politycznej natomiast porozumienia te stanowią fenomen pobudzający do rozważań już dzisiaj. Chodzi zwłaszcza o ukazanie szczególnego charakteru polskiej umowy społecznej anno domini 1980 na szerszym tle różnych koncepcji umowy społecznej, występujących w historii myśli politycznej od ponad dwa tys. lat. Niezwykły charakter tej umowy, niezależnie od jej losów praktycznych, wskazuje, że otwarcia ona nowy rozdział w dziejach tych koncepcji.

Nazwa „umowa społeczna” wystąpiła po raz pierwszy w doktrynach prawa natury. Ukazują one oparte na wyobraźni porozumienia naszych przodków, żyjących dotychczas w chaosie i bezzasadzie stanu natury. Miały to być porozumienia w zakresie konieczności zorganizowania społeczeństwa i powołania władzy zdolnej do zabezpieczenia ludności godziwego bytu. Polska umowa społeczna zrodziła się nie w wyobraźni, lecz

na realnym gruncie rzeczywistości. Zrodziła się nie w stanie przedpaństwowym, lecz na etapie bardzo wysokiego poziomu rozwoju władzy państwowej, uznawanym nawet przez marksizm za poziom niemal najwyższy. Gdy wcześniejsze koncepcje umowy społecznej kształtowały dopiero początki władzy państwowej, polska umowa społeczna powstała w okresie uznawanym przez marksizm za okres jej schyłku, wyrażony w teoretycznej prognozie obumierania państwa socjalistycznego.

Głębie filozoficzna wcześniejszych koncepcji umowy społecznej tworzyły doktryny prawa natury. Najogólniej chociażby określając te prawa, nie sposób nie zauważyć całej ich odmienności od założeń filozoficznych prawa socjalistycznego, tworzącego grunt dla polskiej umowy społecznej. Prawa natury to odwieczne występujące w myśli politycznej zasady postępowania człowieka, wysnuwane z różnie rozumianej natury boskiej, ludzkiej, społeczeństwa. To powinności, tak oczywiste, że każdy myślący człowiek nie może ich nie dostrzec, a tym bardziej ignorować. To trwałe i moralnie dobre treści egzystujące w każdym społeczeństwie. To prawe impulsy sumienia, duszy, serca i umysłu każdego rozsądnego człowieka. To normy wszystkich ludzi uczciwych i szczerych, z którymi władza stanowiąca prawa musi się liczyć, jeśli działa odpowiedzialnie. Prawa natury, żywotne do dzisiaj w myśli niemarksiowskiej, to współcześnie tak rzadko niestety upowszechniane prawa człowieka.

Reliktem koncepcji prawa natury w prawodawstwie państw socjalistycznych są np. zasady współzycia społecznego, kategorie słuszności i tzw. poczucie sprawiedliwości. Dopuszczają one bowiem pewną swobodę prawników: możliwość poszukiwania przez ludzi realizujących wymiar sprawiedliwości pewnych kryteriów oceny rozważanych spraw właśnie w naturze człowieczeństwa i społeczeństwa. Jednakże założenia filozoficzne prawa socjalistycznego tak bardzo odbiegają od takich założeń prawa natury, że zwykło się je ujmować jako filozoficzne antypody. Gdy te drugie są na ogół idealistyczne, spekulatywne, ahistoryczne, utopijne i nienaukowe, to pierwsze pretendują do rangi materialistycznej, empirystycznej, historycznej, realistycznej i naukowej. Te wszystkie wspomniane odmienności założeń filozoficznych koncepcji prawa natury i koncepcji prawa socjalistycznego charakteryzują zarazem różnicę pomiędzy wcześniejszymi koncepcjami umowy społecznej a polską umową społeczną.

Autorzy polskiej umowy społecznej nie powołali się na prawa natury. Aż nadto wystarczyło im sformułowanie prawa socjalistycznego, ucieleśniającego treść ustrojowe demokratycznego państwa. Strajkujący robotnicy polscy, znajdując mocne oparcie w istniejących formalnie prawach, domagali się faktycznie ich przestrzegania. Domagali się bezmił to paradoksalnie, aby parlament był parlamentem, rząd właśnie rządem, wymiar sprawiedliwości ni mniej, ni więcej wymiarem sprawiedliwości, a partia polityczna — jedynie i po prostu partią polityczną. Domagali się rzeczy zastanawiająco oczywistych: aby twórcy prawa przestrzegali praw, która sami stworzyli. Na tym też polega legalistyczny, prawniczy, zupełnie obcy duchowi jakiegokolwiek anarchii, charakter polskiej umowy społecznej.

Wcześniejsze koncepcje umowy społecznej odnosiły swoje rozważania do okresów braku istnienia prawa i władzy posiadającej legitymację prawną. Polska umowa społeczna wyrosła w sytuacji jasnego i łaskawego łamania prawa przez władzę posiadającą wprawdzie formalną legitymację prawną, ale faktycznie nadużywającą jej tak bardzo, że musiała to wywołać falę zasadnego protestu społecznego. Najtrudniejsze pertraktacje polskiej umowy społecznej skoncentrowały się wokół tych robotniczych pragnień, które zmierzają do powściągnięcia władzy łaskawo nadużywającej należnych jej praw. Pragnienia te, ucieleśnione już w treściach polskiej umowy społecz-

nej, to prawa robotników do strajku i własnej samorządnej oraz niezależnej organizacji związkowej. Pragnienia te, wyrażane już wielokrotnie obietnicą nowych władz polskich, to dążenie do osiągnięcia wyższej jakości w zakresie samego sprawowania władzy. Znamieniem szczególnym polskiej umowy społecznej stało się hasło dobrej roboty, i tych rządzących, i tych rządzonych.

Każda koncepcja umowy społecznej, również polska umowa społeczna, opiera się na rzeczywistym dążeniu do porozumienia przy pomocy środków pozamilitarnych, wybitnych fizycznej i psychicznej przemocy. Podstawowym sposobem osiągnięcia jakiegokolwiek umowy społecznej jest cierpliwe wysłuchiwanie racji partnera na zasadzie dialogu, rozmowy, wykluczające polityczny monolog. Porozumienia wymuszone i uzasadnione na zasadzie monologu jednej tylko strony nigdy nie były faktycznie porozumieniami i nigdy nimi nie będą. Autentyczne porozumienia przenika szczerze partnerów układających treści umowy społecznej, a więc czerpiących z wolności do nieskrępowanej wypowiedzi. Autentyczne porozumienia przenika także zaufanie do partnera, że dochowa on należnego szacunku wypertraktowanymi mozołnie treściami. Atmosfera wiarygodności określa sztywność realizacji zawartych poro-

zumień. Każde zawahanie partnera umowy społecznej wywołać musi niepokój tej drugiej strony i osłabić, bądź unicestwić nawet, ujęte w umowie społecznej treści.

Miarą rzetelności przestrzegania umowy społecznej była, jest i będzie więc zapewne lojalność wzajemna zawierających ją partnerów. Zawarta i realizowana na zasadzie partnerstwa, umowa społeczna zakłada obustronnie równoprawność autonomii programowej i organizacyjnej oraz swobody działania jej podmiotów w granicach zakreślonych umową. Rzeczywiste partnerstwo klóci się najwyraźniej z arbitralnym narzucaniem własnej woli swojemu partnerowi. Rzeczywiste partnerstwo to najprostszą drogą do rozwoju posądzanych więzi społecznych i określania na tym gruncie kierunków rozwoju zgodnych z wolą ogólnospołeczną. Koncepcje umowy społecznej odnoszone do przedsocjalistycznych struktur politycznych skazywane były siłą klasowych podziałów na ograniczoność i niedostateczność. Polska umowa społeczna, jakkolwiek również odzwierciedlająca wyraźne przeciwieństwo interesów, ukazywała się w warunkach przewyższenia podziałów klasowych. Zasadniczą dyferencją leżącą w źródle polskiej umowy społecznej był podział na czerpiących bezzasadnie z przywilejów budżetowych moralną odzież i na pozbawionych tych przywilejów, bądź też odrzucających je w imię moralnych i religijnych wartości.

W historii myśli politycznej występują dwie wersje umowy społecznej. Jedna, starając się wyjaśnić powstanie społeczeństwa, upatrywała je w zjednoczeniu, porozumieniu, zrzeszeniu rozproszonych dotychczas złowrogich sobie jednostek ludzkich. Druga za właściwy sens porozumienia przyjmowała powstanie rządu, władzy państwowej, państwa. Umowy w sprawie rządu kreować miały władze polityczne, zaś umowy w sprawie zorganizowania społeczeństwa stwarzać w miarę jednolitą strukturę, zwaną niekiedy organizmem społecznym. Te pierwsze miały być kontraktem między panującymi i poddanymi, te drugie ugodą między samymi obywatelami. Te pierwsze zakładały podporządkowanie poddanych panującym, te drugie podkreślały wartość idei równości. Aż do czasów nowożytnych teoretycy myśli politycznej zajmowali się głównie umowami w sprawie rządu. Dopiero klasyki koncepcji umowy społecznej — Hobbes, Locke i Rousseau — uznali umowy w sprawie zorganizowania społeczeństwa za równie ważne.

Polska umowa społeczna należy do tych, które łączą elementy obu wspomnianych wersji umowy społecznej. Z jednej bowiem strony jest zjednoczeniem, porozumieniem, zrzeszeniem na płaszczyźnie solidarności międzyludzkiej tych kręgów społeczeństwa, które utraciły zaufanie do skompromitowanych władz i ich błędnej polityki. Obnażając ubóstwo moralne tych władz, prymitywizm intelektualny, zarozumiałość czy też wręcz błąd polityczny, zwrócili się z wezwaniem do solidarnego oporu ze strony wszystkich moralnie zdrowych, albo zdolnych jeszcze do moralnego uzdrowienia Polaków.

I to wezwanie o solidarną działalność, płynące następnie z organizacyjnych ośrodków „Solidarności” jako niezależnych, samorządnych związków zawodowych, nosi wszelkie cechy umowy społecznej o utworzenie jakby nowego, uzdrowionego moralnie i politycznie społeczeństwa polskiego. Z drugiej jednak strony polska umowa społeczna to także porozumienie w sprawie nowego oblicza parlamentu, rządu, związków zawodowych i partii politycznych. To umowa zamierzająca do przywrócenia autentycznego sensu deklarowanym w ideologii zasadom ustrojowym demokracji socjalistycznej — suwerenności ludu pracującego, praworządności, centralizmu demokratycznego i wreszcie kierowniczej roli partii marksistowsko-leninowskiej, a nie dyktatorsko-biurokratycznej. I ta druga strona polskiej umowy społecznej ma charakter zbliżony do koncepcji umowy społecznej,

dotyczącej powstania rządu, władzy państwowej i państwa.

Koncepcje umowy społecznej były z reguły rezultatem ścierania się w myśli politycznej dwóch prądów — demokratycznych i niedemokratycznych, zwanych też często totalitarnymi. Według pierwszego — celem i wartością najwyższą wszystkich dążeń ludzkich jest sam człowiek, a wszystko inne — w tym i społeczeństwo, władza, państwo — zyskuje wartość i znaczenie tylko o tyle, o ile czyni zadość usprawiedliwionym potrzebom człowieka. Według drugiego natomiast prądu, wręcz przeciwnie — nie społeczeństwo, władza, państwo miałyby służyć jednostkom ludzkim, lecz jednostki ludzkie społeczeństwu, władzy, państwu. Wszystkie koncepcje umowy społecznej mieszczą się zdecydowanie w tym pierwszym — demokratycznym — prądzie myśli politycznej. Praktyczne komplikacje, jakie często niestety w historii, polegają na tym, że faktycznie niedemokratyczny reżim polityczny ubiera się w szaty własnej propagandy w szaty demokratyczne. Komplikacje mogą rodzić się i tam, gdzie usiłuje się zachować prymat interesu społecznego nad interesem prywatnym. Ciągłe jeszcze stoją otwarte, również przed współtwórcami polskiej umowy społecznej, pytania: gdzie przebiegają linie graniczne pomiędzy tymi dwoma rodzajami interesów i jak je ze sobą zharmonizować?

Polska umowa społeczna dzieli ze wszystkimi wcześniejszymi koncepcjami takiej umowy dążenie do szczególnie interpretowanego egalitaryzmu. Po raz pierwszy ten egalitaryzm objawia się na etapie samego zawierania umowy. Objawia się wtedy, kiedy czy to wszyscy członkowie społeczeństwa, czy też robotnicy z Gdańska, Szczecina i Jastrzębia uznają się nawzajem za równych sobie partnerów politycznych, solidarnie występujących do władz z żądaniem zaspokojenia ich słusznych potrzeb. Objawia się też wtedy, kiedy władza państwowa zmuszona zostaje do potraktowania występujących z żądaniem jako partnerów rozmów politycznych. Objawia się w równości uprawnień i obowiązków pertraktujących ze sobą stron. W Polsce najplastyczniej objawiła się w tym, że Lech Wałęsa mógł usiąść przy tym samym stole z wicepremierem Mieczysławem Jagielskim i położyć swój podpis na umowie społecznej obok podpisu tego jednego z najwyższych przedstawicieli polskich władz. Duch równości przenikający umowy społeczne w okresie ich zawierania występuje najczęściej i później np. w postaci sprawdzania hasła sprawiedliwości do sądał równego podziału dóbr powszechnie w społeczeństwie pożądanym.

Równie pojawniano wiarygodność historyczna koncepcji umowy społecznej. Wszak pamiętać należy, że były to tylko koncepcje. Duża grupa myślicieli traktowała umowę społeczną jako fakt historyczny, ale nie znajdowała właściwie zadawalających tego potwierdzeń w źródłach. Znaczenie więcej jednak zwolenników posiadała opinia, że umowa społeczna to tylko pewna hipoteza, spekulacja filozoficzna, fikcja historyczna w przedmiocie genezy społeczeństwa i państwa, bardziej przekonywająca od innych. W przypadku obu interpretacji fakt powstania społeczeństwa i państwa miał poprzedzać same koncepcje umowy społecznej.

Koncepcje te podejmowały jedynie próbę wyjaśnienia czegoś, co już istniało i lepiej lub gorzej funkcjonowało. I tutaj widąc zasadnicze odmienności polskiej umowy społecznej, Polska umowa społeczna to bowiem nie hipoteza, a fakt o znaczeniu dziejowym, to nie spekulacja filozoficzna, a oparta na silach społecznych doniosła decyzja polityczna, to nie fikcja historyczna, a tętniąca życiem realność odradzającego się społeczeństwa i państwa. I wreszcie fakt polskiej umowy społecznej jakby zaskoczył teoretyków, ideologów i myślicieli, którzy scharakteryzują dopiero szerzej samą koncepcję. Gdy wcześniejsze drogi wiodły od koncepcji do jakiejś niepewnej historycznie praktyki, w przypadku polskiej umowy społecznej kolejność rzeczy jest odwrotna — od praktyki do teorii.

Pierwsze i następne koncepcje umowy społecznej przyczyniły się właśnie do obalenia tezy o boskim pochodzeniu władzy. Stanowiły punkty wyjścia dla idei suwerenności ludu — ludowładztwa i zasady panowania prawa — praworządności. Zawierały przekonywujące uzasadnienia prawa oporu społeczeństwa przeciwko tyranii władz państwowych. Oddały wielkie usługi ideologiczne burżuazji walczącej o władzę z siłami feudalizmu. Zawsze spełniały funkcje legitymizacyjne jako wyjaśnienie i usprawiedliwienie zarazem pochodzenia władzy i stających przed nią funkcji i zadań. Przeświadczyły im intencje pragmatyczne i utylitarne, zatem nie były one tylko igraszką swobodnie spekulujących umysłów. Ten pragmatyczny utylitarny charakter wyróżnia polską umowę społeczną w całej jej rozciągłości. Wszak jest to obowiązujące obie strony porozumienie, zmuszone wypertraktowany dokument do realizacji, w którym każde słowo posiada swoją ogromną doniosłość społeczną i polityczną.

Jan Jakub Rousseau, jeden z najwybitniejszych twórców koncepcji umowy społecznej, zauważył, że „każdy chce swego dobra, ale nie każdy je wie”. Dramaturgia narodziła polskiej umowy społecznej dowodzi niezbicie, że ukazywały ją siły pragnące i dostrzegające nie tylko własne dobro, ale przede wszystkim dobro narodu, główetu na leńię Polacy i dobro kraj nad Wisłą, której nosi nazwę Polska.

Oblicza umowy społecznej

Roman Tokarczyk

TRZEŻWE spojrzenie na rzeczywistość stało się ostatnio odruchem. Każdy, kto nie plamił się dotąd oglądaniem świata z wyznaczonej odległości zacierającej przykre szczegóły — oddycha. Oddycha, choć świeże powietrze kłuje w płuca i choć nowe spojrzenie nie zawsze cokolwiek zmienia.

W „Gazecie Południowej” (z 9 grudnia) zamieszczono sprawozdanie z sesji WRN w Nowym Sączu. I sekretarz KW PZPR, Henryk Kostecki, którego rezygnacji ze stanowiska przewodniczącego WRN sesja nie przyjęła, wypowiedział takie oto słowa: Mamy poważne kłopoty lokalowe. Jeśli uda się nam przenieść KM PZPR w Nowym Sączu do budynku KW, by ten przy Jagiellońskiej przeznaczyć na rzecz służby zdrowia — będę pierwszym, który w tym nie przeszkodzi...

Kłopoty lokalowe... Służba zdrowia... Skąd my to znamy? W Lublinie Pogotowie Ratunkowe przy ulicy Sławińskiego od lat trzydziestu mieści się w tym samym miejscu. Zobaczmy w swoim otoczeniu, ile się od tego czasu zmieniło; kto krótkowidz, może skoncentrować się na stanie swoich narządów wewnętrznych. Tymczasem pogotowie trwa na posterunku, przedstawiając jedynie ścianki działowe. Ile można jednak dzielić? Zrobiono gabinet pediatryczny kosztem zasilania energetycznego dla sali chirurgicznej, jest apteka przerobiona z ubikacji, co można więcej? Rano jedno z pomieszczeń jest sekretariatem i sortownią brudnej bielizny, nocą rozkłada się w nim spanie dla pediatry i ginekologa. Gdyby ktoś obsługujący biuro zleceń chciał nocą rozprostować nogi na kozetce, musiałby wsunąć się pod biurko.

W ambulatorium ogólnym stoją cztery kozetki, z których jedna rezerwowana jest do robienia EKG, z trzech pozostałych zganiana się pacjentów już po piętnastu minutach, żeby zrobić miejsce następnym. Nie ma więc mowy o obserwacji chorego, to chore obserwuje straszne miejsce, w które trafił. Wieczorem w wąskim korytarzu przed ambulatorium kłębi się przedziwny tłum około czterdziestu osób, dający wyrazisty przekrój świadczonych usług. Chore dzieci i pijacy, zakaźnie chorzy i niedoszli samobójcy, a między nimi przedzierający się sanitariusze z noszami. Dotąd pielęgniarki pamiętają psychicznie chorego, który z nożem wypadł między czekających w poczekalni, tak że wszyscy musieli chować się w pobliskiej dyspozytorni. Dwa tygodnie temu przywieziony na badanie krwi pijany mężczyzna rozbił okno, choć równie dobrze mógłby je wybić w izbie wytrzeźwień, gdzie również można było zbadać stężenie alkoholu w jego krwi. Ale utarł się zwyczaj, że MO przywozi pijanych do pogotowia...

W sąsiadującym z ambulatorium gabinecie pediatrycznym znajduje się inkubator i lodówka, zorganizowano wyjaławianie narzędzi, destylację wody i pogotowie herbaciane — i dobrze, że dzieci są małe, to się jeszcze mieszczą. W pogotowiu jest tak ciasno, że trudno

sobie wyobrazić. Kierowcy śpią pokotem w byłej stajni jak w izbie bandosów, trzech dzieli się połową szafki, w której trzymają koce, ubranie, narzędzia i wiktuały, zupełnie już nie zwracając uwagi na mało higieniczne połączenie. Salowe mają pokój socjalny z palaczami. Nic dziwnego, że karetki garażują po prostu pod gołym niebem.

Ciasnota ciasnotą, zaś stan techniczny budynku to odrębny temat. Nie tak dawno w sali chirurgicznej oberwał się z sufitu płat tynku, dobrze, że nie podczas zabiegu. Wygięty sufit opiera się na ścianie działowej, okien nikt już nigdy nie domknął — tak spaczona. Łazienka mała, uboga, na dodatek ktoś ukradł prysznic. Ubikacja ciągle się zapycha, niespodziewanie zalewa, wylażą z niej szczury. W byłej stajni u

działania i dostosowania się do nieprzewidzianych warunków. Dlatego potrzebny im jest luksus w chwili wypoczynku, bynajmniej nie ograniczający się do szklanki herbaty, gotowej akurat wtedy, gdy nie ma już na nią czasu.

Pogotowie z racji swojej nazwy zobowiązane jest do doraźnej pomocy. Niestety, zakres jego usług nie jest pełny ze względu na brak zaplecza medycznego, takiego jak rentgen czy gipsownia. Z braku stanowisk diagnostycznych chorzy wożeni są też do szpitali nawet na chwilową hospitalizację. Znając zaś warunki, w jakich pracują lubelskie szpitale, wypada tylko współczuć obu stronom i trzymać kciuki za własne zdrowie. A przecież pogotowie, którego rola często sprowadza się do

gotowia Ratunkowego. Trudno dziś znaleźć argument — chociaż pracy ideologicznej nie pomniejszam — który przebiłby raczej ułożenie służby zdrowia (ratującej w końcu życie ludzkie) w pomieszczeniach przeznaczonych do rozwijania światopoglądu uwarżliwionego na dobro człowieka. Podręczność kształcenia wobec potrzeby ratowania jest tak oczywista, że pod uwagę może być brana jedynie kosztowność ewentualnej adaptacji.

KM PZPR zajmuje 21 pokoi i salę egzekutyw, Wojewódzki Ośrodek Kształcenia Ideologicznego — siedem pokoi i salę wykładową, Wieczorowy Uniwersytet Marksizmu-Leninizmu — jeden pokój i cztery sale seminaryjne. Łącznie gmach ma 2981,5 m kw. powierzchni użytkowej.

Nawiasem mówiąc, Pogotowie Ratunkowe przy ul. Sławińskiego mieści się na około 200 m kw., choć potrzebuje ich 2000, aby w pełni rozwijać wachlarz swoich usług — na wagę życia — dla ludności. Oczywiście ważne jest również dogodne miejsce w centrum miasta, które przy ul. Obrońców Pokoju byłoby wprost wymarzone. Ale to na marginesie, bo przecież ewentualnych pretendentów do gmachu jest sporo, zważywszy, że w przerażająco złych warunkach mieści się klinika dziecięca, a także „Sanepid”, w Bibliotece Wojewódzkiej im. H. Łopacińskiego pękają stropy, żaluzje mała jest liczba ogólnie dostępnych sal widowiskowych (a sala konferencyjna gmachu ma 463 m kw.), zaś ze względu na bliskie sąsiedztwo z Rozgłośnią i Stacją Linii Radiowych pomieszczenie w budynku KM PZPR byłoby też dobre dla Redakcji Telewizji Lubelskiej.

Mimo tych rozlicznych apetytów na gmach KM PZPR, przeważał pogląd natury ogólnej, wyrażony w postulacie służby zdrowia i w liście pracowników Rozgłośni PR i TV do I sekretarza KW PZPR, żeby pomieszczenie wykorzystać na najbardziej palące potrzeby miasta.

Stanisław Mantyka, I sekretarz KM PZPR w Lublinie, wypowiedział się na temat gmachu w „Sztandarze Ludu” (z 8 grudnia): *Zwróciłem się do kierownictwa KW PZPR o powołanie odpowiedniej komisji, m.in. z udziałem przedstawicieli tych zakładów i jednostek służby zdrowia, z których propozycje pochodzą. Komisja przeanalizuje dotychczasowe wykorzystanie obiektu i jeśli uzna, że nie jest on dociekliwie, zaproponuje rozwiązanie problemu. [...] Zgadzam się z tymi, którzy twierdzą, że najtrudniejsze warunki lokalowe ma Pogotowie Ratunkowe i „Sanepid”. Podzielałem także pogląd, że rozwiązanie problemu tych dwóch jednostek służby zdrowia nie można odkładać do czasu wybudowania szpitala przy Al. Kraśnickiej.*

Komisja, o której wspominał Stanisław Mantyka, już działa. W oparciu o ekonomiczny rachunek kosztów adaptacyjnych ogłosił, kto zagospodaruje i czy zagospodaruje cały budynek. Można tylko wyrazić nadzieję, że sprzeta ona potrzebom chwili.

Bez obrazy ale z głową

Anna Bocian

kierowców także wylażą szczury, a jeden z nich ugryzł śpiącego kierowcę w twarz, co po serii zastrzyków przyniosło człowiekowi zanik nerwu wzrokowego i rentę. O tym, że samochody myje się zimną wodą, można by właściwie nie wspominać, bo pikantniejsze jest zamazanie drzwi karetek. Co to znaczy, gdy potrzebna jest natychmiastowa pomoc, można się przekonać, grzejąc wodę na odmrożenie drzwi i powtarzanie tej samej czynności po przyjeździe do szpitala.

Tyle katalogu niedostatków pogotowia, o których wiedzieliśmy już dawniej, ale nie była to wiedza inspirująca do działania. Owszem, w 1973 roku utworzono podstawę Pogotowia Ratunkowego przy ul. Topolowej, jednak jej warunki w niczym nie przewyższają stanu centrali przy ul. Sławińskiego i niejednokrotnie w rejon podstacji pędzi karetka z centrum miasta. W wypadku epidemii grypy uruchamia się podstację na LSM, lecz i to nie jest żadnym rozwiązaniem. Pogotowie potrzebuje zdecydowanej poprawy warunków i absolutnie priorytetowej pomocy. W końcu karetka musi wyjechać w 20 sekund od zlecenia, a w niej lu-

transportowania ludzi z domu do szpitala, mogłoby mieć własną bazę łózkową obejmującą doraźną pomoc kardiologiczną, toksykologiczną czy traumatologiczną.

Mówi się, że ludzie nauczyli się korzystać z pogotowia. I bardzo dobrze, w końcu zdrowie społeczeństwa to nie kaszka z mlekiem. Zdajmy sobie więc sprawę z tego, że lubelskie pogotowie wyjeżdża rocznie około 80 tys. razy, w tym do pacjentów około 45 tys. razy. (Pozostałe wyjazdy karetek to transport chorych z domu do szpitala i odwrotnie).

Nie bez powodu wspominałam na wstępie o Nowym Sączu. Również i w Lublinie opinia publiczna bardzo wyraziła się w kwestiach społecznych, skwapliwiej, niż kiedy indziej, wyciągając wnioski ze swoich spostrzeżeń. Otóż przy ul. Obrońców Pokoju stoi czteropiętrowy gmach, stanowiący głównie, choć nie tylko, siedzibę KM PZPR. Gmach ten, być może słuszny kubaturowo kiedyś, a obecnie może i wykorzystywany w całej swej powierzchni, pozostaje w jaskrawym przeciwieństwie do warunków np. Po-

Fascynacja i rozsądek

Dokończenie ze str. 1

jąca import myśli technicznej głównie w formie licencji, motywowana była względna taniością tego importu, zwłaszcza przy zastosowaniu rachunku krótkookresowego. Sytuacja cenowa uległa jednak zmianie, a główną przyczyną jest zmiana orientacji przedsiębiorstw kapitalistycznych. Jak wykazują badania prowadzone w USA, ogromna większość przedsiębiorstw międzynarodowych uważa, że sprzedaż postępu naukowo-technicznego w postaci licencji jest korzystna tylko wtedy, gdy nie można ani eksportować towarów, ani dokonać zagranicznych inwestycji bezpośrednich (choćby w postaci zagranicznych filii produkcyjnych). Era względnie taniego importu postępu technicznego

skończyła się. Cena postępu naukowo-technicznego na rynku światowym rośnie, a sprzedawane rozwiązania są coraz bardziej opóźnione w stosunku do najnowszych osiągnięć. Biorąc pod uwagę, że kapitalistyczne przedsiębiorstwa międzynarodowe niechętnie sprzedają w postaci licencji najnowsze informacje naukowo-techniczne, można przewidywać wzrost znaczenia współpracy opartej o specjalizację. Należy tutaj podkreślić, że mało jest też realne, aby lukę między poziomami techniki w naszym kraju i czołową światową zlikwidowały międzynarodowe przedsiębiorstwa.

Charakterystyczna jest opinia specjalistów, z Dyrektoriatu Ekonomicznego NATO, którzy twierdzą, iż polityka importu postępu naukowo-technicznego w krajach socjalistycznych raczej zahamowała niż pobudziła rozwój postępu naukowo-technicznego w tych krajach. Za dowód tego przyjmują eksperci NATO zainteresowanie

państw socjalistycznych transakcjami, w których zachodni partner zobowiązuje się nie tylko do sprzedaży danego procesu technologicznego, ale też do późniejszego dostarczania informacji na temat dalszego doskonalenia tego procesu.

Spróbujmy sobie wyobrazić, co to mogłoby oznaczać w ostatecznych konsekwencjach na przykład dla Polski. Po pierwsze — byłaby to stagnacja samodzielnego wdrażania techniki w naszym kraju. W rezultacie Polska, będąca ciągle jeszcze w międzynarodowym podziale pracy partnerem o dużym udziale surowców i artykułów rolnych, stałaby się wprawdzie krajem przemysłowym, lecz bardzo zależnym od rozwiniętych państw kapitalistycznych, specjalizujących się w wytwarzaniu postępu naukowo-technicznego. Taka pozycja Polski charakteryzowałaby się względnie wysokim, lecz nie najwyższym poziomem dochodu narodowego i całym szeregiem efektów ubocznych, jak: znaczny udział pracy zmuszonej, bezmyślnej (np. przy taśmie produkcyjnej), brudnej i niebezpiecznej dla zdrowia ludzi, powodującej zanieczyszczenie środowiska.

Trzeba sobie zdawać sprawę, że krótkookresowy rachunek w rozpatrywaniu problemów transferu techniki jest zawodny i potrzeba tutaj całociowego widzenia pozytywów i negatywów importu techniki w okresie długim (wraz z konsekwencjami dla struktury produkcji i nowoczesności gospodarki). Można wskazać na szereg przypadków, w których nie był u nas prowadzony rachunek ekonomiczny

dotyczący alternatywnych rozwiązań: import produktu — zakup licencji — nakłady na własne prace badawcze i rozwojowe. Wybory intuicyjne kończą się na obecnym etapie rozwoju społecznego niepowodzeniem, a fascynacja techniką bez liczenia jej rozmaitych efektów i uwarunkowań prowadzi do sytuacji takich jak obecna, gdy często nie jesteśmy w stanie wykorzystać wcześniej zakupionej techniki. Decydemtorem ułatwia działania fakt istnienia w Polsce niskiej kultury technicznej, co wywala dążenie do posiadania każdej byle lepszej techniki. Nie istnieje praktycznie, poza nielicznymi grupami społecznymi, stan świadomości pozwalający za walkę z zagrożeniem ekologicznym. Jest to szczególnie jaskrawo widoczne w sytuacjach, kiedy powtarzamy, wręcz bezmyślnie, wszystkie błędy w stosowaniu techniki, przez które przechodziły kraje wysoko uprzemysłowane.

Kiedy widzimy, jak w socjalizmie rozbudowano przyjęty z kapitalizmu system taylorowski, jak wzrasta z roku na rok liczba osób cierpiących na choroby zawodowe, jak pozwalamy na bezpowrotne zmiany w środowisku naturalnym — to mimo woli nasuwa się pytanie, czy (a jeżeli tak, to w jaki sposób) oceniamy konkretne rozwiązania techniczne w kontekście ustroju socjalistycznego?

Zanim udzielimy odpowiedzi na to pytanie, spróbujmy określić, na czym polega społeczne wartościowanie techniki, stosowane w krajach zachodniej Europy i USA. Praktycznie taka działalność realizowana jest w Stanach Zjednoczonych od 1967 roku, kiedy to

Oczekiwanie

Tadeusz Jasiński

NA próżno szukałem w Bogdanie i Łęcznej kogoś, kto uznałby, że należy zahamować inwestycje w Centralnym Rejonie Węglowym. Tak, ale wszyscy wiedzą, że nie można w obecnej sytuacji liczyć na to, iż w rozpoczynającym się dziesięcioleciu zgłębi się aż siedem kopalń, jak to pierwotnie przewidywano. O tym prawie zostali przekonani, choć nie do końca, gdyż nie mogą pojąć, dlaczego właśnie w Lubelskiem i Chełmskiem, na budowach kopalń tak potrzebnych krajowi, pragnie się znaleźć rozwiązanie dla złagodzenia ogólniejszych trudności. Ulga będzie to pozorna — powiadają — a za pięć lat uznamy zgodnie, że był to trudny i najcięższy błąd, którego skutki nie trudno przewidzieć już dzisiaj. Przecież Śląsk właściwie osiągnął już swoje optymalne możliwości i będą one raczej maleć. Tak mówi prawie każdy, z kim rozmawiam, każdy innym językiem, ale wymowa jest jedna: „hamować” gdzie indziej.

Naczelnik miasta i gminy Łęczna, Czesław Skoczyński, powie mi, że zatrzymanie tych inwestycji byłoby bardzo niedobre, choćby dla rozwoju miasta, bo przecież wstrzymane lub zmniejszone zostałyby nakłady na infrastrukturę. Już teraz przedsiębiorstwa budowlane nie wywiązują się z planów. Nie nadają budownictwo mieszkaniowe, szkolne, dla służby zdrowia, ciepłownictwo. Chociaż wielu rolników nie chce się wiązać z górnictwem i nawet po wywłaszczeniu żąda ziemi gdzieś w okolicy, czekając aż Wydział Rolnictwa Urzędu Wojewódzkiego wreszcie wyznaczy tereny pod nowe siedliska — to zainteresowanie robotami górniczymi jest ogromne. Ludzie czekają na ten węgiel — mówi naczelnik — jest duży nacisk społeczeństwa, chce ono, żeby wynik był pozytywny. Przecież kopalnie przeobrażają nasze życie, wzbogacają, wielu zdobyło już odpowiednio zawody i razem z przybyszami buduje wszystko, co jest kopalnictwu potrzebne.

Prezes Towarzystwa Przyjaciół Ziemi Łęczyńskiej, Stefania Pawlak, stwierdza:

— O tę ziemię ogrodową, która gdzieś pod osiedla, to tu dzieje się plaża, ale chodzi im także o rozwój miasta i gospodarki. Część pewnie by się ucieszyła z likwidacji węgla, bo nie chce wysiedlenia z okolicy i rozpaczy jest wśród prawdziwych rolników. Równocześnie jednak „ptoki” by odfrunęły, a tu potrzebna druga szkoła, żłobek, przedszkole, plac zabaw, rozwój życia kulturalnego. Wszystko by zamarło.

Klementyna Zakrzewska jest urzędniczką, ale matka przy ulicy Polnej posiada półtora hektara dobrej ziemi. Zakrzewscy należą do najstarszych łęczyńskich rodów. Pani Klementyna, jak wielu, pragnie rzeczy niemożliwej:

— Najbardziej chcę, aby nas nie przesiedlono. Ale żeby był rozwój, to byśmy z matką i siostrą chcieli.

Teresa Walasowa, która pracuje w centrali telefonicznej Kombinatu Budownictwa Górniczego „Wschód” w Łęcznej, odbiera nastroje miejscowego, starego społeczeństwa ostrzeż. Choćby na poczie w kolejce usłyszała:

— Zasypani wszystko, węgla nie było i nie będzie! Wszyscy wyjadą na Śląsk i nas tak zostawi!

Rolnik, który przywiózł jakieś dobra do Łęcznej i je sprzedał, oświadcza:

— Ee, panie, a czy to u nas pod ziemią jest węgiel? Kto go widział? Tylko nam synów odciągają od gospodarki, lepiej, żeby sobie górnik poszli, skąd przyjechali. Nazwisko? A po co panu nazwisko? Można nie podawać. — Spostrzegam je na tabliczce wozu i usmiecham się, widąc i do Nadrybia zwiała wielka tajemnica.

Tę ostatnią rozwiewa łatwo Włodzimierz Mięśłowicz:

— Węgiel jest — powiada dyrektor naczelny Kombinatu Budownictwa Górniczego „Wschód” — natrafiamy na niego, drążąc chodniki. Trochę daliśmy go osrodkowi zarobku w Jaszczowie, trochę naszej ciepłowni. Są to jeszcze małe ilości. Myślę, że w przyszłym roku będziemy okolicznym rolnikom sprzedawać węgiel spod szybu wprost na furę. Wtedy uwierzą.

A w sprawie zasadniczej? Dyrektor Mięśłowicz przyznaje, że ministerstwo górnictwa, podobnie jak i kolei, rządzi się obyczajami i prawami niemal wojskowymi. Taki charakter i waga tego przemysłu dla kraju. Decyzje podejmie resort, który zna sytuację w całym kraju.

— Na resort przynależy środków, tyle my z tą kadra, z całą bracią górniczą jesteśmy w stanie z pożytkiem wykorzystać, aby Zagłębie się rozwijało i dało w przyszłym dziesięcioleciu tak pożądaną węgiel. Swoje racje, racje ekonomiczne głównie przedkładamy wytrwale i nigdy nie byliśmy za programem minimum. Za rok będziemy wydobywać z kopalni w Bogdanie na skalę przemysłową. Nikt już nie wątpi, że rząd i resort wyrażą zgodę na kontynuowanie robót w Stefanowie. A Adamów? Losy rozpoczęcia prac w Adamowie właśnie się waga.

Odbyłem piątego grudnia prawie godzinny rozmowę telefoniczną z jednym z pełnomocników łęczyńskiej „Solidarności”, górnikiem Januszem Andrzejkiewiczem. Był to dwudziesty trzeci dzień jego nieobecności w kopalni. Wraz z kolegą Węglorzem oraz 28 przedstawicielami innych przedsiębiorstw budownictwa górniczego okupują przez 23 dni salę konferencyjną swego Zjednoczenia. Wśród 103 postulatów na czoło wysunęli problem budowy Stefanowa i Adamowa. Andrzejkiewicz zastrzegł się:

— My nie na dziko tu jesteśmy, my protestujemy legalnie, bo ta akcja uzgodniona jest z Jastrzębiem. Ludzie z piętnastu przedsiębiorstw chcą tego samego. Mnie tu nasi związkowcy wydelegowali z kolegą i my nie możemy wracać z pustymi rękami. Dyrekcja przysłała nam doradców, fachowców, my sami zapraszamy do siebie, aby mieć wszystko dobrze uzasadnione i wyliczone. To byłoby strata dla Polski, gdyby teraz zaprzestano w Stefanowie i nie rozpoczęto trzeciej kopalni w Adamowie. Jestem pionkiem, jestem sługą tych ludzi, co nas tu wysłali. Było wesele w rodzinie, nie opuściłem posterunku, szkoda było, gdy się pomyślało, że tam się bawią i cieszą, a tu trzeba czekać. Nikt się nie zajął obroną tych obu kopalni, nikt oficjalny. Lży idą, w oczach się moko robi, kiedy się pomyśli, że tylko robotnik nasz dba, aby był rozwój kraju! Czym wcześniej podjęte zostaną decyzje po naszej myśli, tym lepiej dla sprawy, tym taniej wyjdzie ta robota. Ci, co w czasie drążenia szybu pierwszego nie słu-

chali nas, starych górników, żeby zaraz zrobić obudowę ostateczną, żeby lepiej wronić i głębiej, co wydawali z daleka decyzje, teraz są na wysokich stanowiskach. To oni hamują, oni u nas, a nie gdzie indziej szukają oszczędności! To tak wygląda, jakby ministerstwo chciało napięcia wśród robotników. Ludzie chcieli tu, na tej sali konferencyjnej tylko rozmawiać z przedstawicielami władzy. W końcu wicepremier Kopać wydelegował swego pełnomocnika, wiceministra górnictwa Jana Tyca, bo nas ludzie popierali, zaczęli kilkugodzinne strajki ostrzegawcze. Nie chcemy się zgodzić, żeby zlikwidowano Zakłady Naprawczy i Transportu, przecież one są Kombinatu bardzo potrzebne! Do dziś nie otrzymałem od wiceministra odpowiedzi. Ja będę te pytania stawiał codziennie, aż się doczekam. Ludzie garną się do pracy, trzeba im ją tylko dobrze zorganizować. Jestem w górnictwie 25 lat, a w Bogdanie 5, u nas jest dużo dobrych fachowców i teraz mieliby wracać na Śląsk, albo do miedzi, kiedy są potrzebni na Lubelszczyźnie? Zwiążali się już, nikt im nie wytłumaczył. Czwarci szyb, mimo tego nieszczęścia z dwoma kolegami, jest najciężniejszy w Polsce, górnicy kochają to, co robią, oni chcą dobrze i szybko zbudować kopalnię. My nie czekamy na decyzję tylko, my już powołujemy komisję fachowców, będą zaprzysięgnięci, obowiązują ich będzie tajemnica państwowa i do końca marca, a najpóźniej do 1 maja, opracują projekty trzeciej kopalni, żeby w drugim półroczu można było zacząć roboty przygotowawcze. Zbędne siły z Bogdanki i Stefanowa będzie można wykorzystać w Adamowie. Dyrektorzy jakby się zgodzili na te obciążenia, ale my nie pozwolimy zmarnować ani złotówki, chcemy odzyskać miliony już włożone w tę ziemię. Czekamy na tę kartkę z rządowym podpisem. Kopalnię w Stefanowie nazwiemy „Solidarności”. Każdy ma żonę, ma dzieci, chciałby uciec, gdy będzie ten podpis, że plan dalszej budowy obie strony obowiązują.

Jeden z pracowników nadzoru górniczego, który swoje nazwisko zastrzegł do wiadomości tylko reportera, nosi się z zamiarem wystąpienia z górniczej „Solidarności”, razi go nadmierna krzykliwość niektórych działaczy Związku, ich brak umiaru. Sądzi nawet, że akcja protestacyjna w Katowicach, która trwa już miesiąc, jest głosem dyrekcji Kombinatu i KLZW. Różdża administracja boi się redukcji, więc protest związkowców jest jej na rękę. Na 1700 pracowników przedsiębiorstwa aż jedną trzecią stanowią urzędnicy. Na dwóch górników przypada jeden pracownik biura! A te 1200 osób w dyrekcji inwestora lubelskiego? Toż to karykatura biurokracji! Jeśli zsumować umysłowych z obu przedsiębiorstw łatwo spostrzec, iż jest ich więcej niż fizycznych. Ta ilość przygotowywana była na wyrost, ale z myślą o szybkim rozszerzeniu się inwestycji, a teraz?

Uratować tę kadre dla przyszłości Zagłębia to jedna sprawa, a nie zaprzęścić tego, co zrobione i do zrobienia jest możliwe — druga. Przecież i dyrekcja Kombinatu i KLZW, Komitet Zakładowy PZPR, miejsko-gminna i wojewódzka instancje partyjne zabiegają od dawna, aby ełcia inwestycyjne w lubelsko-chełmskim górnictwie nie były tak dotkliwą. Po prostu działają one we właściwy sobie sposób, mniej głośno. Oczywiście, że przedsięwzięcia związkowe także posiadają swoją wartość. W sumie nie jest to zaściankowe widzenie, ale obrona rzeczywistych potrzeb kraju i regionu. Ja także opowiadałem się za budową kopalni w Stefanowie i rozpoczęciem robót przygotowawczych w Adamowie. Natomiast oszczędności trzeba szukać rzeczywiście w pomniejszeniu biurokracji.

opinie publiczną zainteresował raport E. Q. Daddario sporządzony dla potrzeb Kongresu. Zawierał on metody analizy i główne kryteria, na podstawie których systematycznie można było ocenić poszczególne rozwiązania techniczne ze względu na społeczne niebezpieczeństwa ich zastosowania. Z inicjatywy Kongresu USA w roku 1972 powstało Biuro ds. Wartościowania Techniki, będące jego doradczym organem w sprawach związanych z nową techniką, a wymagających działania ustawodawczego lub przynajmniej poznania spodziewanych reakcji społecznych. Głównym czynnikiem, który spowodował potrzebę wartościowania techniki, jest tempo i zakres zmian, jakie nowa technika wywołuje w różnorodnych sferach życia społecznego. Jeszcze dwadzieścia lat temu w krajach wysoko uprzemysłowanych nowe osiągnięcia techniki traktowane były z reguły jako czynnik wzrostu dobrobytu, a gwarantowało im powszechną aprobatę społeczną. Dziś jednak, pomimo że dalej nauka i technika są uznawane za podstawowy czynnik rozwoju społeczno-gospodarczego, wzrasta zainteresowanie nieprzewidywanymi negatywnymi konsekwencjami oraz społecznymi kosztami wynikającymi z wprowadzenia nowych rozwiązań technicznych. Przykładem tego typu konsekwencji jest zniszczenie środowiska naturalnego związane z rozwojem różnorodnych systemów komunikacji.

Wzrasta przekonanie, że problemy rozwoju stają się coraz bardziej kompleksowe, że sama technika prowadzi

do powstawania korzyści w jednych sektorach, co może być bardzo kosztowne w innych.

Od momentu utworzenia wymiennego biura zainteresowanie tą problematyką nieustannie wzrasta. Opracowany dwa lata temu raport wykazał ponad 150 różnych prac prowadzonych aktualnie w USA; dotyczą one między innymi następujących zagadnień: konsekwencji budowy elektrowni atomowych, wydobycia ropy naftowej z morza, przeszczepów serca, motoryzacji, videotelefonii itp.

Powracając do postawionego wcześniej pytania, trzeba uzmysłowić sobie, że praktycznie przez długi okres imitujemy rozwiązanie techniczne pochodzące z krajów kapitalistycznych, bez stworzenia mechanizmu selekcji poszczególnych technik. Istniejący u nas centralizm w życiu społeczno-gospodarczym, często dodatkowo zbiurokratyzowany i technokratyzowany, dokonywał wartościowania w kontekście chęci utrzymania się władzy, a nie zmiany techniki. Służyła temu również ideologia postępu techniki. Jest bardzo charakterystyczne, że w naszym społeczeństwie w dużej mierze przyjął się mit o tym, iż postęp to zmiany w technice, a nie zmiany w funkcjonowaniu społeczeństwa. Fascynacja wielkimi inwestycjami, kolorowymi lampkami automatów kontrolujących linie technologiczne, w zestawieniu np. z techniką rolną często niezmienną od wieków, przypomina czasami luksusowy kabriolet, do którego zaprzęgnięto konie, gdyż nie można było uruchomić silnika.

Oczywiście, celowo przejawiam, chociaż trudno pogodzić się z aktualną sytuacją, nawet uwzględniając jej determinanty w postaci reguły gry stosowanych przez Zachód, w których gubimy się, oraz funkcjonowania w ramach RWPG, gdzie reguły i struktury są dostosowane, ale za to wartościowanie techniki następuje na szczeblu ponadnarodowym. Szansę zmiany w tym zakresie można wiązać jedynie z procesem demokratyzacji społeczeństwa, co z kolei pozwoli na stworzenie systemu informacji o zagrożeniach techniki i konsekwencjach wyborów technicznych, a następnie na systematyczne dokonywanie oceny techniki.

Warunkiem powodzenia tej działalności jest unicestwienie mitu o tym, że nas nie stać na wartościowanie techniki. Jest natomiast prawdą, iż społeczeństwo polskie nie stać na błędy w decyzjach związanych z wyborem techniki. Konsekwencje wyborów, których dokonano w ciągu ostatnich dziesięciu lat, będą długookresowe, niestety pewnych technik i technologii wycofać się nie da. Chociaż i tutaj trzeba uświadomić społeczeństwu, że np. tylko 30 proc. ludności w miastach może korzystać z samochodu, a konsekwencje tej techniki transportowej w postaci rozregulowania porządku miasta, niedorozwoju transportu publicznego są trudne do przewyżczenia.

Istnieje też szereg błędnych decyzji związanych z wyborem techniki, które można jeszcze zweryfikować. Do nich należy sprawa energii atomowej.

Już dziś wiadomo, że wizja, iż energia ta przekształci pustynie w kwitnące sady, nie tylko nie sprawdza się, ale trzeba się liczyć z realnym i potencjalnym zagrożeniem, jakie wiąże się z upowszechnieniem energii jądrowej. Również i w Polsce operuje się trzema chwytliwymi i popularnymi argumentami: że energia atomowa jest tania i spłaci koszty rozwoju niskimi taryfami energii elektrycznej, że jest konieczna ze względu na „znikające” zasoby węgla i że elektrownie atomowe są „czyste” (nie skażają środowiska). Konieczne wydaje się podjęcie prac badawczych nad tym, jakie są rzeczywiste koszty budowy elektrowni atomowych oraz ponowne rozpatrzenie spraw kryjących się za hasłami: radioaktywność, składowanie odpadów radioaktywnych, skażenie cieplne, awarie i możliwości katastrofy.

Są to decyzje zbyt poważne, aby mogła je podejmować wąska grupa decydentów, jako że konsekwencje wyborów techniki ponosić będzie społeczeństwo nie tylko obecne, ale, co może najważniejsze, i następne pokolenia. Nie sposób wyczerpać tej problematyki w krótkim artykule, jedno jest natomiast pewne — nadszedł czas, aby skończyć z bałwochwalczym stosunkiem do techniki, ma ona służyć społeczeństwu w realizacji celów, a nie stać się jednym z tych celów.

Lesław A. Paga

Kamena str. 5

Rozmowa z Piotrem Wysockim



Mirosław Derecki: — Rodowód jakby wyjęty z „Popiołów” Stefana Żeromskiego? Oto widzę jeden z pańskich rodzinnych dokumentów, stwierdzający Stan Służby Jem Pana Feliksa Wysockiego Kapitała Półku 2^o Jazdy Wojsk Xięstwa Warszawskiego. Zaświadcza się w nim, że wymieniony wyżej Feliks Wysocki herbu Ogończyk Wszedł w służbę w Stopniu Podporucznika dnia 9 Miesiąca Stycznia 1807 roku w Płocku i w tym roku odbył Kampanię; w Roku 1809 odbył Kampanię Austriacką i w tym roku został ozdobionym Krzyżem Złotym Polskim. A dalej czytamy, że gdy już dosłużył się stopnia kapitana, to w roku 1812 odbył Kampanię, był rasny nad Berezyną, i został podany do Krzyża Kawalerskiego Polskiego y do Krzyża Legii honorowej, lecz dla nie wykuro-woanych w owoczas rån i zupełnego sił osłabienia, gdy nie mógł maszerować z Wojskiem ze Granicę, przymuszony był pozostać w Kraju, y Ozdób do których był podany — nie otrzymał. Wśród podpisów Oficerów Półku tego, sygnującego dokument, znajduje się także nazwisko późniejszego generała Chłopińskiego.

W półtora wieku później, jako zupełnie początkujący aktor, został pan „zamieszany” w filmową powtórkę z historii, której jednym z autentycznych bohaterów był pański prapradziad. Zagrał pan rolę księcia Gintuła w „Popiołach” Andrzeja Wajdy. Czy wówczas, podczas pracy nad rolą, brał pan pod uwagę „tradycję rodzinną”, czy miała ona dla młodego człowieka jakieś znaczenie?

Piotr Wysocki: — O ile sobie dobrze przypominam, nie zastanawiałem się nad tym wszystkim. Powiem więcej: nie jestem pewien nawet, czy pamiętałem o tych nieliczonych pamiątkach i dokumentach, które moja babka, Izabella Wysocka, zdołała wynieść w 1944 roku z płonącego domu rodzinnego w Nowym Mieście nad Drwęcą. To były wszak wówczas dla mnie tak dawne i tak mało istotne rzeczy — kawałki papieru przechowywane pieczołowicie w szufladach przez przedstawicieli starszego pokolenia. Przez ludzi, których czynne życie już się skończyło... Wchodząc w samodzielne życie, chce się zazwyczaj zapomnieć o tym wszystkim, co nad człowiekiem przez całe dzieciństwo i lata chłopięce ciążyło, leczy się tylko przyszłość. Zresztą obraz napoleońskiego ułana? Był już i w samej rodzinie mocno zamglony: kolejni Wysoccy imali się coraz mniej romantycznych zajęć. Mój dziadek, Piotr Wysocki, był lekarzem; prowadził przez wiele lat praktykę we wspomnianym już Nowym Mieście nad Drwęcą. Mój ojciec, Józef Wysocki, parzył się przez długie lata w Toruniu dziennikarstwem. Dopóki sobie tego zawodu ostatecznie nie zbrzydził i zaszły się w leśnictwie Golub — Dobrzyń jako specjalista od spraw łowieckich. Może zresztą łowiectwo było zawsze jego prawdziwym powołaniem? Może ten zawód marzył mu się jeszcze w młodzieńczych latach paryskich, gdy pracował w redakcji emigracyjnego „Wiarusa” i gdzie zdecydował się popłynąć „mezalians”, biorąc za żonę paryżankę z urodzenia, lecz z pochodzenia córkę krawca z Szamolu? Tak czy inaczej, ojciec osiadł w końcu w lasach nad Drwęcą. Ta rzeka ma bez wątpienia jakieś szczególne znaczenie dla naszej rodziny i pewnie ja także kiedyś do niej zateknę.

Mirosław Derecki: — Przed chwilą odżegnywał się pan od tradycji rodzinnych, a jednak cały czas pan opowiada właśnie o historii rodziny Wysockich.

Piotr Wysocki: — Bo mówię to już jako człowiek ponad czterdziestoletni, z balastem ról teatralnych na grzbiecie, z co nieco już ustabilizowanym aktorskim swoim życiem, z założonym własnym domem, i oczekując właśnie narodzin pierwszego potomka. Przed szesnastu laty, gdy wchodziłem na plan filmowych „Popiołów”, byłem kimś zupełnie innym. To była moja pierwsza i od razu „wielka”, przynajmniej w sensie jej

filmowego znaczenia, rola aktorska. To było wypłynięcie od razu — jak mi się wówczas zdawało — na szerokie wody, tuż po ukończeniu szkoły aktorskiej. I był to również początek realizacji życiowych marzeń. Proszę wziąć pod uwagę, że w chwili ukończenia PWST w Krakowie liczyłem już dwadzieścia osiem lat — początkowo, po maturze w technikum budowlanym, przez pięć lat pracowałem w Toruniu w oddziale Wojewódzkiego Biura Projektów. Bakcyłem teatru zaraziłem się dość późno, już w trakcie pracy zawodowej, ale za to bardzo skutecznie.

Mirosław Derecki: — W „Popiołach” startowała w głównych rolach grupa młodych i prawie zupełnie jeszcze niedoświadczonych ludzi: Daniel Olbrychski grał Rafała Olbromskiego, Bogusław Kiere — Krzysztofa Cedre, Piotr Wysocki — księcia Gintuła, jedną z kluczowych postaci powieści Żeromskiego, tym trudniejszą do kreowania, że kumulującą w sobie pewne specyficzne poglądy polityczne, społeczne i filozoficzne tamtej epoki. Wajda zawierzył młodym i nie pomylił się. Chciałbym przypomnieć w tym miejscu, jak oceniano pańską grę jeszcze na etapie kręcenia „Popiołów”. W reportażu z realizacji filmu, w tygodniku „Film” z 15 listopada 1964 r., Zdzisław Dudzik tak pisał m. in.: Po „Popiołach” polska kinematografia wzbogaci się zapewne o kilka nowych aktorskich indywidualności. Smiała decyzja Wajdy — powierzenie kluczowych ról debiutantom — przynosi zaskakujące rezultaty. Dłużej oglądałem na planie tylko Piotra Wysockiego (ks. Gintuła). To może być odkrycie na miarę Cybulskiego. Zeby tylko nie musiał tak długo, jak Cybulski, czekać na następne, ciekawe role.

Piotr Wysocki: — Dodam, że byłem jednym z osiemnastu kandydatów do tej roli i ostatecznie Wajda zdecydował się powierzyć ją mnie. Warto też przypomnieć, że początkowo reżyser myślał o daniu wszystkich trzech ról wiodących artystom z dużym stażem zawodowym, takim jak Lomnicki, Hanuszkiewicz. Tymczasem Olbrychski miał za sobą dopiero debiut w filmie „Ranny w lesie”, ja byłem tuż po dyplomie, a Bogusław Kiere w ogóle był jeszcze studentem PWST w Krakowie.

Mirosław Derecki: — Reporter „Filmu” napisał jednak słowa prawie prorocze: po doskonałym i liczącym się aktorsko debiucie, po wkroczeniu — „od pierwszego podejścia” — do historii polskiego kina, musiał pan długo czekać na następny występ w filmie. Jak to jest — że obiecujący aktor, osobowość filmowa, nagle gdzieś przepada na całe lata, że szkoda dla siebie i dla sztuki?

Piotr Wysocki: — Tutaj moeno zaprotestuję! Ja wcale nie uważam, żebym dla siebie poniósł szkodę z faktu, że nie dano mi zaraz następnej roli na miarę księcia Gintuła. Może w ogóle nagła filmowa „kariera” odbiłaby się fatalnie na moim aktorstwie, które wówczas było jeszcze wszak w samym zalążku. Gintuła grałem „na czucie”, dobrze „siedziałem” w tej postaci, bo bliska mi ona była — choć nie zdawałem sobie wówczas z tego sprawy — ze względu na dawne napoleońskie

dzieje Wysockich. Ale warsztat aktorski to ja, proszę pana, miałem wówczas mizerny. Warsztatu i rozumienia roli uczy się człowiek — przynajmniej w Polsce — nie na planie filmowym, tylko w teatrze. Do szkoły aktorskiej idzie się z myślą, że kiedyś stanie się na scenie, po podniesieniu kurtyny, przed wypełnioną ludźmi widownią. I że będzie się rzucało w ciemność widowni słowa wielkie i myśli wspaniałe. I przede mną otworzyła się po ukończeniu szkoły aktorskiej taka właśnie szansa: na warsztat dyplomowy przyjechał do Krakowa dyrektor Moryciński z mojego rodzinnego Torunia i zaproponował mi pracę w swoim teatrze. Oraz główną rolę w przygotowanych „Dziadach”! Pan zdaje sobie sprawę, ile dla młodego człowieka znaczy taka propozycja? Co tam film, co tam książka Gintuła! Ja mam oto zagrać Gustawa — Konrada w „Dziadach”. Więc podpisałem engagement na tysiąc sto złotych miesięcznie. Bo zagram Gustawa — Konrada!

Mirosław Derecki: — I zagrał pan?

Piotr Wysocki: — Na miejscu okazało się, że tą samą obietnicą dyrektor Moryciński zwał do Torunia jeszcze kilku innych absolwentów z różnych polskich szkół teatralnych. Tak, dyrektor Moryciński wyznawał tę starą, wypróbowaną „szkołę” angażowania aktorów... Zamiast Gustawa — Konrada zagrałem wówczas w „Dziadach” aż pięć niewielkich ról. Jedną z nich to była rola Piotra Wysockiego, przywódcę podchorążych w czasie nocy listopadowej. Teraz postać Piotra Wysockiego w sztuce o powstaniu listopadowym, wystawianej aktualnie przez Kazimierza Brauna we Wrocławiu, kreuje mój młodszy o szesnaście lat brat Aleksander. Wysłałem mu nawet niedawno taką depezę: „Podchorążemu, w dniu premiery, braterski uścisk — Piotr Wysocki”.

Ale mówiąc poważnie: nie straciłem na tym Toruniu. I również na tym, że dyrektor Moryciński niechętnie mnie zwalniał do grania w filmie. (Bo po roli księcia Gintuła sypnęły się jednak propozycje). Ja myślę, że miał wtedy rację. Gustawa — Konrada nigdy nie udało mi się zagrać, ale teatru Moryciński mnie nauczył. Nie żałował mi ciężkiej pracy i nie żałował mi roli: grałem Poetę w „Weselu”, Suna w „Dobrym człowieku z Seczuanu”...

Mirosław Derecki: — Nie żałował pan jednak, że nie robi pan błyskotliwej kariery? Kariery filmowej?

Piotr Wysocki: — Odpowiem panu tak: praca w teatrze była dla mnie zawsze cenniejsza i ważniejsza niż praca w filmie. W Toruniu teatr pochłoniął mnie całkowicie. Toruń zresztą to było także miasto, gdzie miałem swój dom rodzinny, gdzie mieszkali moi najbliżsi krewni. Byli tam też moi przyjaciele i koledzy z lat szkolnych. Przez słowo „Toruń” trzeba rozumieć także jego szeroką okolicę, wieś i miasteczka, do których docierała nasza scena. Bo teatr toruński był właściwie teatrem objazdowym. Założyłem też wtedy, wspólnie z Piotrem Mosem, kabaret piosenki.

Mirosław Derecki: — Z tego toruńskiego okresu pamiętam pana jednak w znaczących rolach telewizyjnych i filmowych: w „Pieśni triumfującej miłości” według Lermontowa w reżyserii Andrzeja Zulawskiego; także jako porucznika Pieczorina w „Tamania” według lermontowskiego „Bohatera naszych czasów”.

Piotr Wysocki: — Dyrektor Moryciński co pewien czas zgadzał się jednak na moje występowanie w filmie.

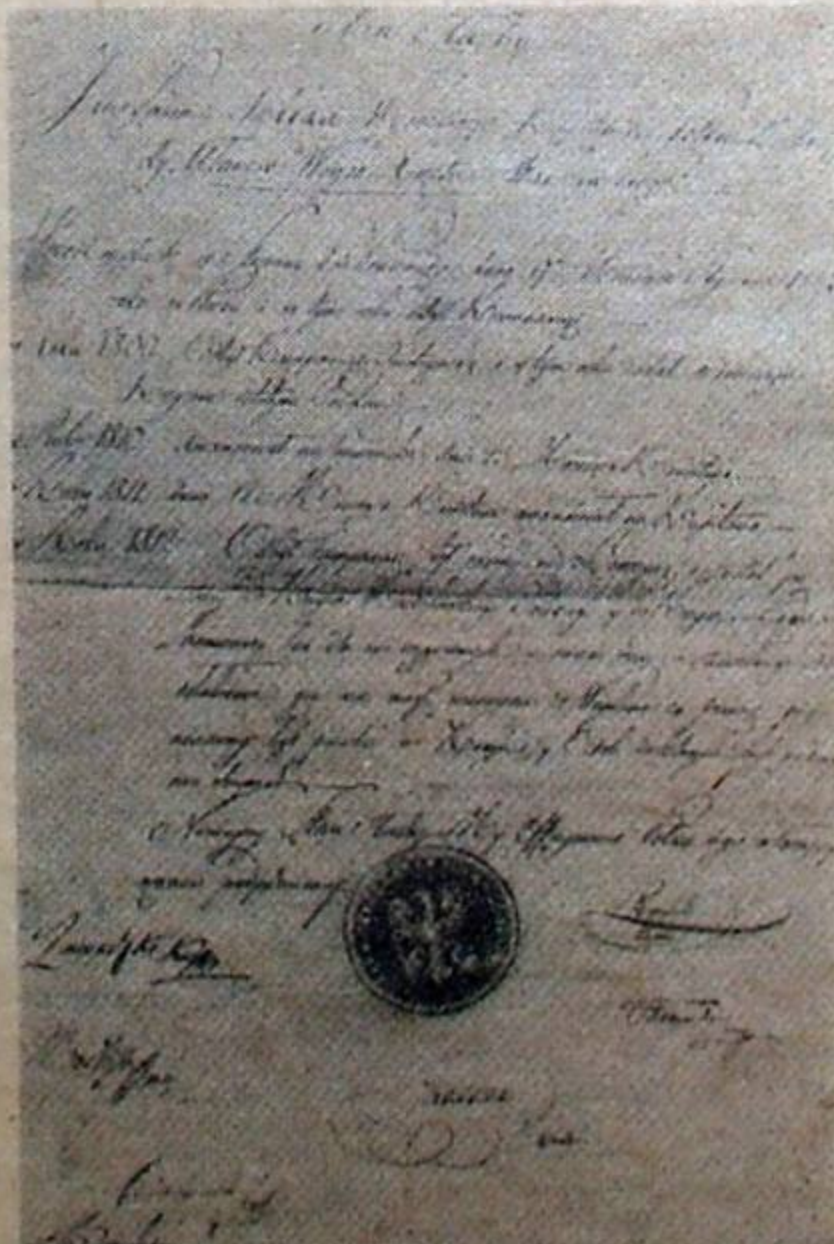
Mirosław Derecki: — Od jedenastu lat jest pan jednym z czołowych aktorów w zespole Teatru im. Juliusza Osterwy w Lublinie. Ponad czterdzieści ról, w tym takie jak Fantazy w sztuce Słowackiego, molierowski Świętoszek, szekspirowski Otello, molierowski Don Juan, Fircyk w komedii Zablockiego, Trott w „Okapi” Grochowiaka, Papczyński w „Rewizorze” Gogola, a ostatnio — Król w „Cydzie” Corneille’a w reżyserii Ignacego Gogolewskiego. To chyba jednak Lublin ukształtował pana ostatecznie jako artystę?

Piotr Wysocki: — Może również jako człowieka. Przed jedenastu laty trafiłem tu za sprawą Kazimierza Brauna, który wybrał się z Torunia, gdzie reżyserował, na pierwsze w życiu kierownictwo artystyczne — do Lublina. Przyjechałem niby na nie długo, a właśnie tutaj założyłem dom, własną rodzinę.

Mirosław Derecki: — I teraz oto siedzi pan w domu i porządkuje pamiątki rodzinne...

Piotr Wysocki: — Widocznie przyszedł na to właściwy czas. Taki moment, kiedy następuje pewna zawodowa stabilizacja i kiedy — przedziej czy później — staje się na czele rodziny. Wtedy człowiek zagłada do szuflady. Ja myślę, że i do „tradycji” i do własnego stosunku do świata, do ludzi na nim żyjących, trzeba dość długo dorastać. I to się najczęściej osiąga dopiero po czterdziestce.

Tak więc, gdy może dopiero dzisiaj dorosłem naprawdę do roli księcia Gintuła, jego postać naprzywiera się — niestety — już trochę w wizerunku mojej młodości.



wały o tym osobiste pragnienia i predyspozycje?

ANDRZEJ BURDA: — Uważano mnie za zwolennika Gomułki i „wyłączono”, kiedy Wiesława wykluczono z życia politycznego za Lw. odchylenia prawicowo-nacjonalistyczne. Od 1949 roku wykładałem tylko w Szkole Partyjnej przy KC PZPR w Warszawie.

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI: — Której słuchaczami byli m.in. Gierek, Kruczek i Sztybel?

ANDRZEJ BURDA: — Tak. Później powstała z tego Wyższa Szkoła Nauk Społecznych.

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI: — Napisał pan kiedyś: „Każdy system rządzenia potrzebuje i dobiera sobie odpowiednich ludzi, zatem stawia na człowieka o określonych cechach intelektualnych i charakterologicznych, a na wysokość piętro życia publicznego wyniósł pana polski, demokratyczny państwownik”.

ANDRZEJ BURDA: — System demokratyczny dobiera sobie takich ludzi, których przekonania i działalność są zgodne z tymi celami, jakie stawia sobie dany ustroj czy ekipa rządząca. A więc nawet naukowców, w których wiadomo, że nie będą posłuszni na każdym kroku. Człowiek posłuszny wykoną wszystkie polecenia, choć zdaje sobie sprawę, że w poszczególnych przypadkach czyni źle... Cytowaną przez pana myśl zawarłem w obszernej rozprawie „Psychologia społeczna a ustroj polityczny”, którą opublikowałem w „Kulturze i Społeczeństwie” w roku 1967, a więc wówczas, kiedy można jeszcze było sporo powiedzieć.

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI: — Napisał pan także, mając na uwadze państwa orientalne: „W stosunkach społecznych i w życiu państwowym liczy się zewnętrzność i wymuszanie po stronie mas akceptacji państwa w drodze tresury: pozór i gest są wszystkim, życie wewnętrzne — niczym”.

ANDRZEJ BURDA: — Dotyczy to despotii wschodnich: Egiptu, Asyrii, Babilonii. Jeśli chodzi o republiki, demokracje, to już Montesquieu wskazywał, że dewiza ich winna być enota.

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI: — A więc wartości moralne?

ANDRZEJ BURDA: — Tak. Ustroj demokratyczny, a zatem uznający zwierzchnictwo społeczeństwa nad strukturą państwową, będącą jego instrumentem, stawia na wychowanie i na charakter człowieka. Władza może pobłażać, ale ludzie mogą ten błąd skorygować lub zaprotestować przeciwko określonym decyzjom.

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI: — Albo zmienić władzę.

ANDRZEJ BURDA: — Jeśli u nas traci ktoś funkcję publiczną, to zazwyczaj w sposób bardzo niecny, brzydki czy spektakularny, choć mimo tego daje mu się ciepła emerytura. Naród za niego płaci, a on jakoś tam, w spokoju, dożywa dni „swolch, najwyżej dręczą go wyrzuty sumienia, jeżeli ma takowe, naturalnie. Kiedy w 1956 roku usunięto z Biura Politycznego pewnego działacza, robotnika zresztą, przy każdej okazji mówił on: „Co mi tam, uważają mnie za dogmatyka, to i wrócę do swojej pracy” — aż Gomułka nie wytrzymał i powiedział: „Tyle razy o tym mówicie i jakoś nie wracacie”. Mimo tego nie wrócił... Czy to nie paradoks, że państwo oparte na idei pracy posiada 40-letnich, zdrowych fizycznie emerytów?

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI: — Na październikowej fali demokratyzacji życia w kraju system ulokował pana na wysokim stanowisku, które opuścił pan w 1961 roku. Można przypuszczać, że kiedy demokracja jakby przybladała, system odrzucił pana jako człowieka już nieprzydatnego w nowych warunkach...

ANDRZEJ BURDA: — Odszedłem na własne żądanie, po półrocznym oczekiwaniu na spełnienie mej prośby o zwolnienie z funkcji. Do Początków 1960 roku mogłem sprawować ją zgodnie z własnymi przekonaniami: prawnika i obywatela, ale sytuacja zmieniła się zasadniczo po odejściu z sekretariatu KC Jerzego Albrechta, człowieka inteligentnego, dobrej woli, któremu podlegał wymiar sprawiedliwości. Jego następcą okazał się zwolennikiem dyrygowania, osobnikiem nieufnym.

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI: No dobrze, ale Gomułka, ten prawy człowiek polskiego socjalizmu...

ANDRZEJ BURDA: — Na pewno prawy.

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI: — „miał chyba wpływ na zastrzeżenie kursu w polityce wewnętrznej?”

ANDRZEJ BURDA: — Gomułka był człowiekiem ideowym, ortodoksyjnym komunistą, ale jego nieszczęściem było to, że nie umiał sobie dobrać ludzi. Przecież w ówczesnym Biurze Politycznym byli ci, co go z partii kilka lat wcześniej wyrzucali. Gomułka dominował nad tymi ludźmi, którzy z kolei mieli wobec niego kompleks niższości i poczucie winy, wszystko aprobowali, no może poza wyjątkami. Inna sprawa, że i sekretarz był zadufany w sobie, przejęty swoją misją, uważał, że on właśnie wie najlepiej. Ostatecznie stracił poczucie rzeczywistości.

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI: — Brzmi to jakoś aktualnie... Panie profesorze,

socjalizmu, ale nie wszystkie jednakowo, każdy z nich wniesie coś własnego do takiej lub innej odmiany demokracji.

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI: — Pamiętam, że 25 lat temu wyrażałem opinię o „polskiej drodze do socjalizmu”.

ANDRZEJ BURDA: — Do 1960 roku. Nie tylko zresztą mówiło się, bo Gomułka dążył o potrzeby narodu, miał odwagę stawiać kwestię suwerenności. Natomiast Gierek nie używał już tego określenia, w praktyce był rzesztańskim dogmatyzmem...

Następna przyczyna wiąże się z pierwszą i leży w płaszczyźnie psychologii społecznej. Otóż my jesteśmy trudniejsi do rządzenia, niż na przykład nasi sąsiedzi. Stwierdzenie to nie wynika z jakiejś mojej podatności na

coś. Myślę tę podjęli później Marks i Lenin, którego — dodam — stać było na przyznanie się do błędów, na zmianę poglądów. W 1917 roku w „Państwie a rewolucji” twierdził, że rządzenie państwem socjalistycznym to sprawa niezmiernie łatwa, do opanowania nawet przez kucharkę. Ale kiedy trochę porządki, zmienił zdanie, mówiąc, że nawet inteligentna kucharka nie poradzi sobie z władowym problemem.

Obecnie, coż, rozwój naszej demokracji limitowany jest znanym układem sił we wschodniej i środkowej Europie. Jedno jest pewne: że nie ma socjalizmu bez demokracji, a pełna demokracja może pojawić się wówczas, kiedy całą klasę robotniczą podnieśnie się do roli podmiotu polityki.

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI: — Początkowo Gierek zmerzał chyba do tego.

ANDRZEJ BURDA: — Pozorował. Proszę pana, 20 grudnia 1970 roku człowiek dojrzały oświadcza narodowi w telewizji, że zostanie powołana komisja do zbadania okoliczności i przyczyn tragedii na Wybrzeżu — ale nie dotrzymuje tej obietnicy... Zgodnie z oficjalną zapowiedzią „Nowe Drogi” z materiałami VI Zjazdu Partii miały ukazać się w nakładzie 100 tys. egzemplarzy, a faktycznie wydano je bodaj w 30 tysiącach... A jak pan sądzi: czy głównym źródłem ruchu robotniczego w Polsce 1980 nie był fakt poszarpania godności robotników, którzy w swej wartej szacunku reakcji okazali się po trosze spadkobiercami posłów naszej szlachty? „Nie tylko dla chleba to robimy” — oświadczał strajkujący Lublina.

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI: — Wracając do sprawy demokracji, chciałoby się postawić pytanie, czy i w warunkach jej „limitowania” nie daloby się coś dobrego zrobić?

ANDRZEJ BURDA: — Daloby się, zmieniając ordynację wyborczą do Sejmu, odchodząc od fatalnej w skutkach — niech pan zobaczy co się stało z naszą gospodarką! — prawidłowości, że ci sami ludzie wydają prawa, ci sami je wykonują i identycznie kontrolują to wszystko. Jeśli nie rozdzielimy tych funkcji, znów zagrozi nam autokracja. Engels powiada: wszyscy urzędnicy powinni być odpowiedzialni przed sądem, a jeżeli zajdzie konieczność, karani. Lenin stwierdza: jeżeli członkowie Rady Komisarzy Ludowych popełnią nadużycia, powinni być postawieni przed sądem. A jak u nas wyglądają te sprawy?

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI: — Mówi się, że taki rząd, jakie społeczeństwo...

ANDRZEJ BURDA: — Zgoda, ale leża za sprawdzac się może tylko w społeczeństwach otwartych!

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI: — Proszę o wskazanie na kolejną przyczynę naszych kryzysów.

ANDRZEJ BURDA: — Jest nią demoralizacja społeczeństwa, wynikająca z rozdziewu między oficjalnie głoszonym słowem a rzeczywistością, z ustanowieniem żalosnych porządków aksjologicznych, w których miejsce nie istniejącego kodeksu moralności socjalistycznej wypełniono treścią nauk, pozal się Boże, politycznych, a więc tworem praktycznie skompromitowanym. To wszystko stało się widoczne szczególnie w ostatnich latach. O ile Gomułka był człowiekiem inteligentnym, świetnie czującym historię i pełnym wiary, to jego następcy zaczęli kariery od dekorowania się fikcyjnymi dyplomami wyższych uczelni. To oni właśnie zapoczątkowali ten cały pęd do tytułomani, tak zresztą głęboko obcej działaczom z pierwszej połowy lat pięćdziesiątych, kiedy to picie kawy, spanie w piżamie i granie w brydża uchodziło za przejaw drobnomieszczaństwa. Śmieszko to dzisiaj, sam zresztą pytałem wówczas: „W brydża nie można, ale w durnia chyba tak?”, ale było zdrowsze, niż obyczajowość lat siedemdziesiątych.

Nie twierdzę, że cały naród jest zdemoralizowany. Czyn robotników w 1980 roku świadczy bowiem o renesansie poczucia moralnego. Ale spustoszenia w tej sferze są wielkie.

Na zaproponowany przez pana temat można by jeszcze długo mówić. Ograniczę się wszakże do stwierdzenia, że w przyszłość spoglądam z pewnym optymizmem, choć nie obejmuję on lat najbliższych. 50 lat żyłem ideą socjalizmu i nie żałuję tego, bo to piękna sprawa.

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI: — Dziękuję, panie profesorze, za rozmowę.

Nie ma socjalizmu bez demokracji

a jaki był stosunek Gomułki do inteligencji?

ANDRZEJ BURDA: — Nie lubił jej, uważał — może nie bez racji — że inteligent organicznie skazany jest na to, żeby być liberałem, on zaś, komunistą, liberalów nie znosił. Był niegdyś robotnikiem naftowym nie miał studiów za sobą, kiedy piętnowano go za „odchylenia prawicowo-nacjonalistyczne”, tłumaczył: „Wybaczcie, ale ja przecież dokładnie marksizmu nie studiowałem”. Inteligencją przewyższał jednak wielu.

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI: — Jak sobie przypominam, skłonności autokratyczne Gomułki pogłębiały się z biegiem lat i skończyły się fatalnie. Zachodzą jednak w głowę, dlaczego jego następcą powrócił ten sam scenariusz.

ANDRZEJ BURDA: — Niezupełnie ten sam. Powtarzam: Gomułka był żarliwym komunistą, przede wszystkim miał na uwadze interesy robotników, ludzi pracy, całego społeczeństwa. Stąd uważał, że jego poglądy i działania są najtrafniejsze. Jednocześnie był popędliwy, pewny siebie, a nie miał żadnej kontroli nad sobą. Osiągnął takie uznanie i taki autorytet (do czasu), jakiego nie zyskał nawet Kościuszko, w którym szlachta widziała jakobina buntującego chłopów. Tymczasem Gierek okazał się człowiekiem całkowicie odmiennym. W jego postępowaniu nie spostrzegłem tego oddania klasie robotniczej, jakie reprezentował Gomułka. Kontakty Gierka z robotnikami były reżysersowane, nieautentyczne.

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI: — Fakt, irytować zaczęła w końcu ta scenografia...

ANDRZEJ BURDA: — Rozwarła się tragiczna przepaść między frazeologią a rzeczywistością. Gierek powtarzał ciągle o patriotycznym zaangażowaniu, o potrzebie uczenia się demokracji, lecz były to tylko słowa.

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI: — Gdzie pan widzi główne źródła naszych powojennych zapałów?

ANDRZEJ BURDA: — Wskażę tylko na kilka przyczyn, nie eksponując żadnej, ponieważ tworzą one spłot warunkowy. Zaczęć przecież od stwierdzenia, że jednym z źródeł tych kryzysów jest dogmatyczne realizowanie idei socjalizmu w Polsce, a więc nastawienie, którego trudno szukać u Marksa czy Lenina. Marks twierdził, że w perspektywie czasu proletariąt osiągnie taką pozycję w społeczeństwach, w systemie produkcji, iż musi dojść do władzy, co też się stało w różnych krajach współczesnego świata. Rzecz w tym, że nie jedna droga prowadzi do panowania klasy robotniczej. Na stronie 67 w 23 tomie „Dzieł” Lenina znajdzie pan takie zdanie: wszystkie narody dojdą do

miły i frazesy w rodzaju: Polska „natchnieniem narodów”, jak to swego czasu obwiescił Roosevelt. Ale geopolityka, a więc historia ukształtowała polską odrębność, polegającą m.in. na wielkiej zdolności manewrowania celem zachowania wolności. Polacy nie znoszą schematów, są indywidualistami, trudnym elementem do tworzenia struktury państwowej. W drodze stosowania ostrego reżimu rządzenia i bagatelizowania opinii publicznej ciężko u nas osiągnąć społeczną akceptację celów sformułowanych „na gorze”.

Ten indywidualizm, posuwający się czasami do anarchizmu, rozdził niechęć do instytucji państwa: szlacheckiego, później zaborczego i znów własnego. W okresie międzywojennym, że przypomnę, opozycja była liczniejsza od ugrupowań popierających Piłsudskiego, który zresztą też był indywidualistą. Jako młody człowiek też nie lubilem marszałka; byłem synem chłopca, a chłopci nie darzyli sympatią dyktatora. Wyrażałem to we wspomnieniowej książce „Lata walki i nadziei”.

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI: — W kregach uniwersyteckich mówi się, jakoby jej drugi tom, obejmujący okres Polski Ludowej, nie przepadł do gustu cenzurze.

ANDRZEJ BURDA: — Ciekawe, bo ja go jeszcze nie napisałem, tyle że „Wydawnictwo Literackie” wyraziło chęć opublikowania takiej pozycji, jeśli naturalnie stanie się faktem piarskim.

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI: — Gdzie pan upatruje inne przyczyny naszych kryzysów?

ANDRZEJ BURDA: — W niedemokratycznych metodach rządzenia.

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI: — O pilnej potrzebie demokracji mówiło się w roku 1936 i 1970, a teraz znów powraca ten motyw, jak niespełnione dotąd marzenie. Smutna to cykliczność, panie profesorze... Ale: czy istnieje możliwość stworzenia strukturalnych gwarancji dla demokracji?

ANDRZEJ BURDA: — Proszę pana, przede wszystkim zależy to od kultury politycznej społeczeństwa. Wiem, wyraża się ogólnikiem, ale tłumaczy mnie w pewnym stopniu pamięć o naszej wspaniałej kulturze politycznej w przeszłości, choćby w wieku XIX, kiedy Polska znajdowała się pod zaborami. Przecież to Henryk Kamieński pierwszy pisał o prawie do pracy jako o prawie przyrodzonym człowieka — sześć lat przed opublikowaniem „Manifestu Komunistycznego”, upatrującego w pracy podstawę ustroju społecznego. Jeszcze wcześniej, bo w roku 1834, ugrupowanie „Młodej Prasy” głosiło, że przedstawiciele narodu do organów przedstawicielskich są w każdej chwili odwoływalni przez wybor-

LUBELSKIE POWINOWACTWA

W roku 1978 Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie pozyskała od kilkudziesięciu pisarzy z całego kraju wypowiedzi o związkach ich biografii i twórczości z Lubelszczyzną. Planowano bowiem wydanie informatora na ten temat. Ponieważ edycja nie doszła do skutku, przeto — za zgodą autorów — publikujemy niektóre teksty (lub ich fragmenty) w wyborze i opracowaniu Macieja Podgórnego i Jana Smolajza. Red.

TOMASZ JODEŁKA-BURZECKI

URODZIŁEM się 30 grudnia 1919 roku jako czwarte z pięciorga dzieci Michała Jodełki i Feliksę z Czubałów. Ojciec był wtedy formalem we dworze Burzec pod Łukowem. Rodzina Jodełków do tej pory mieszka we wsi Burzec i w okolicy, a dziadek mój, Jan, jeszcze jako chłop pańszczyźniany uczestniczył ze swym dziadkiem, Dmochowskim, w powstaniu styczniowym.

Rodzice stracili pracę w Burcu w roku 1924, wówczas przenieśliśmy się do dworu Ławki, gdzie byli zatrudnieni przez trzy lata. Po jednorocznym pe-

nieniu przez ojca funkcji stangreta we dworze Domaszewnica — od jesieni 1927 r. rodzina zesłała do stanu komorników, czyli wyrobników, przenosząc się do innej miejscowości, którą stała się kolonia Borowina.

Brak stabilizacji rodziny miał decydujący wpływ na naukę szkolną dzieci. Starsze rodzeństwo moje nie przeszło poza drugi oddział szkoły powszechnej, ja sam weźmie podzieliłem los braci i od siódmego roku życia poszedłem na służbę do gospodarza w sąsiedniej wiosce.

Przypadkowy spis dzieci nie uczą-

cych się skłonił mnie do porzucenia służby i zapisania się do szkoły — od razu do II oddziału, ponieważ umiałem już wcześniej czytać i pisać. Dwuletnia nauka szkolna w Rudzie stanowiła przełom w moim życiu. Dałem się poznać jako dobry rysownik. Przerysowywałem obrazki z elementarza Falskiego, które służyły jako pomoc do nauki szkolnej, a potem przerysowywałem mapy ściennych zapewniłem sobie obiady u nauczyciela i pomoce szkolne, podręczników nie miałem żadnych.

Zimą następnego roku szkolnego przyjechał inspektor na wizytację. Zwrócił uwagę, na duże mapy ścienną wykonane przeze mnie i zdecydował o moim przeniesieniu do IV oddziału. W jednoklasowej szkole oddziały III i IV uczyły się razem, toteż znałem przerobiony materiał i oddział czwarty ukończyłem również z wynikiem bardzo dobrym.

Latem przenieśliśmy się w okolice Białej Podlaskiej, do Zacisza. Dzięki temu w latach 1932—34 skończyłem w Białej Podlaskiej piąty i szósty oddział szkoły powszechnej. W szkole białej również otrzymałem pomoce szkolne i także uczyłem się bez podręczników — nie mogłem zdobyć pieniędzy na ich nabycie, a pożyczka nie miała od kogo, bo z Zacisza nikt nie chodził do szkoły w Białej. Może warto dodać, że codzienna wędrowka do szkoły oddalonej osiem kilometrów była dosyć

uciążliwa dla małego i chorowitego chłopca. Ale jakoś przyzwyczaiłem się do tych „spacerów”. W szkole białej poznałem w roku 1933 Zbyszka Saffjana, z którym zaprzyjaźniłem się i mimo różnych później kolei losów znów z nim się spotkałem w Warszawie — już po wojnie.

Grono nauczycielskie w szkole chciało mi ułatwić dostanie się do gimnazjum w Białej Podlaskiej, ale ja sam pomyślałem o przyszłości już wcześniej. Nauka w gimnazjum białym bez żadnego oparcia materialnego w domu rodzinnym (a tego domu właściwie nie było) wyglądała dosyć mgliście, toteż już wcześniej postarałem się o przyjęcie (mimo poważnych przeszkód) do Małego Seminarium Misyjnego oo Franciszkanów w Niepokalanowie. [...]

W swojej pracy społecznej biore pod uwagę okolice, gdzie spędziłem dzieciństwo. Ten wzgląd spowodował nadanie specjalnej rangi Podlaskim Dniom Literatury, tu leży źródło zorganizowania specjalnych sesji śródokresowych w roku 1976 w Woli Okrzejskiej i w Łukowie z udziałem wnuczki Sienkiewicza Marii Kornilowiczówny, Wojciecha Żukrowskiego, Lesława Bartelskiego... Nawrót do kraju lat dziecińczych doprowadził do włączenia w sferę działania Oddziału Warszawskiego ZLP województwa białsko-podlaskiego, gdzie Dni Literatury otrzymały specjalną oprawę.

O „MILCZĄCEJ sztuce” Lubelskiego Teatru Wizji i Ruchu powiedziano już w prasie dużo słów. Słów dobrych. Nie skąpiły jej pochwał: „Kurier Lubelski”, „Sztandar Ludu”, „Kamena”, „Życie Warszawy”, „Trybuna Ludu”, „Za i Przeciw”, „Panorama Północy”. Zwłaszcza po przyznaniu Grand Prix 1978 Konkursu Eurowizji w belgijskim Knokke wyreżyserowanemu przez Jerzego Gruzę widowisku telewizyjnemu „Follow my Dream”, opartemu na scenach ze spektaklu teatralnego Jerzego Leszczyńskiego „Malczewski”.

Początki mego zainteresowania się teatrem Leszczyńskiego sięgają r. 1972, kiedy placówka utalentowanego aktora-mima, byłego adepta Henryka Tomaszewskiego, nazywała się jeszcze studium i nie miała własnej siedziby. Oceniając pierwszy widziany przeze mnie spektakl SWIR pt. „Ku samemu sobie” (pokazany na scenie Teatru im. J. Osterwy „Reduta 70”), odnotowałam silną ekspresję i sprawność wykonawczą wręcz zaskakujące w zespole bądź co bądź amatorskim, choć prowadzonym przez zawodowca o świetnym warsztacie artystycznym. Wkrótce potem, przy okazji pokazu (na tej samej scenie) „Wariantów” J. Leszczyńskiego, sygnalizowałam znaczenie, jakie współpraca z nim może mieć dla aktorskiej młodzieży teatru dramatycznego, jeśli chodzi o podniesienie rangi ekspresji ciała.

Prawdopodobnie wskutek moich dość częstych „wypadków” poza Lublin ominięło mnie kilka innych pozycji repertuarowych Studia Wizji i Ruchu: „Rosnący kamień” wg opowiadania Alberta Camusa, „Kroki w czasie” wg poezji Léo Ferré, „Epifanie” wg Joyce’a, prezentowane w Filharmonii Lubelskiej „Images” wg Andrzeja Leszczyńskiego „Idzie skacząc po górach”. Ale wiosną 1977 r. nawiązałam znów mój kontakt spektatora ze Studiem — nie, już z Lubelskim Teatrem Wizji i Ruchu, oglądając demonstrowany na wielkiej scenie Teatru im. J. Osterwy spektakl „Malczewski”, pierwszą próbę zrealizowania widowiska monumentalnego po uprawianych przez Leszczyńskiego poprzednio małych formach.

Było to jeszcze przed triumfem spektaklu w Eurowizji, czyli zanim „Złota Jaskółka Morska” mogła intymidować krytyków. Zaznaczywszy, że ambitne widowisko Jerzego Leszczyńskiego bezsprzecznie zasługuje na uznanie dzięki wielu momentom, które sprawiają prawdziwą satysfakcję estetyczną, nie zważałam się wszak przed wysunięciem pewnych zastrzeżeń w odniesieniu do poszczególnych detali, do nadmiaru znaków i „literatury”, do nie zawsze wiernych skojarzeń z dziełem Malczewskiego...

Ładna historia — „zastrzeżenia” gdzieś „na lamach” w Lublinie i raptem gloria na skalę europejską, z jakże wspaniałymi konsekwencjami! Sam Leszczyński informował w „Za i Przeciw”. Pięć telewizji zachodnioeuropejskich zaproponowało nam, a ra-

zami z nami Jerzemu Gruzemu, przygotowanie specjalnych programów telewizyjnych, nie ograniczając nas do tematu. Jednocześnie dwie agencje artystyczne wyraziły chęć zorganizowania tournée po Europie Zachodniej.

No cóż — „niedoceniecie” z mojej strony?

Bynajmniej. Proszę mi wierzyć, iż Grand Prix przyznane sympatycznej placówce lubelskiej sprawiło mi przyjemność nie zmaconą przypuszczeniem, że zostałam zepchnięta na po-

skiego — zdradza symptomy regresu. Odnosi się wrażenie, że pod względem kompozycji układów ruchowych i techniki wykonawczej spektakl ten puszczono po linii najmniejszego oporu przy jednoczesnym upozorowaniu (w komentarzu) — wysokich lotów.

SZEKSPIR — „to brzmi dumnie”. Tedy rzekome koligacje z jego dzieł sugerują nie byle jaką rangę widowiska. Otrzymałam w programie spektaklu streszczenie szekspirowskiej „Burzy”, popularną analizę jej

dzieła, znakomicie przecie klarownego w swym poetyckim kształcie.

O ileż rozsądniej postępuje twórca Sceny Plastycznej KUL-u, Leszek Mądzik, operujący w swoich kompozycjach własnymi treściami i nadający im własne tytuły.

Sądę — proszę mi wybaczyć szczerość — że odrzuciwszy literackie odniesienie, tym razem nieopatrznie wykoncypowane przez Jerzego Leszczyńskiego (którego twórczość składają na ogół wysoko cenione) spójrzmy na omawiane widowisko o wiele łagodniejszym okiem. Jest ono wszak sensownie dostosowane pod względem technicznym do możliwości zespołu, ciągle jeszcze na wpol amatorskiego, ulegającego stale fluktuacji. Wiemy bądź co bądź z grubsza, że autorowi kompozycji chodziło o szeroko potraktowane przesłanie dotyczącej kondycji ludzkiej — temat bardzo wzięty w naszych niewesołych czasach. Jeśli się obejmie — mówiąc przykładowo — nazwą jednej z sekwencji: „Inwazja” — całość widowiska, z pewnością nie omieszkamy docenić w nim takie udatne momenty, jak przybycie intruzów z oryginalnym uwydatnieniem ruchu stóp albo „uczta” oferowana grupie steranych ludzi, usadowionych na ziemi przed rozpostartym długim pasmem czerwonej tkaniny...

Do najlepszych scen w sensie techniki wykonania, wręcz tanecznego, należą sceny miłosne pary zakochanych (Bożena i Bogdan Kowalscy), których erotyzm wydaje się trafny, skoro zapominamy o obyczajach elżbietańskich. Dobre są popisy solowe Ireny Maleckiej, która w koncepcji Leszczyńskiego odtwarza Kalibanahermafrodytę (?), upostaciowanego całkiem „mimo” Szekspira bo piękniejszego i łagodniejszego. Nieźle pomyślana jest scena walki o władzę (przy zręcznym użyciu sztudeł) lub też „polowanie na ptaki”, któremu kto chce może nadać sens głębszy.

Gdy już się ostatecznie wyzbędziemy rankorów spowodowanych nadużyciem wielkiego imienia Mistrza ze Stratfordu, kogoż z nas nie zachwyci wizualna uroda spektaklu, którą zawdzięcza on wspaniałej scenografii Teresy Targońskiej! Ta urzekająca biel, lilowo naświetlana, okalająca przestrzeń sceniczną i niesłychana inwencja w kroju kostiumów, składających się ze stylowych „aluzyjnych” fragmentów wdzianych bezpośrednio na nagie ciała.

Muzyka Andrzeja Skrzeka i SBB, jeszcze jeden atut przedstawienia, kieruje widowisko na pozycje awangardowe, choć nie brak w niej i cytatów klasycznych. Pożądana byłaby lepsza dykcja w playbackach, zwłaszcza Prospera.

Summa summarum, mimo zgłoszonych wyżej przeze mnie pretensji, spektakl będzie się chyba podobał widzom nie dopominającym się o rzeczywiste jego powinowactwo z Szekspirową „Burzą”.

Zyczymy Jerzemu Leszczyńskiemu przetworzenia jego kompozycji plastyczno-ruchowej w widowisko telewizyjne równie udatne jak metamorfoza „Malczewskiego”.

Burza w milczeniu

Maria Bechezye-Rudnicka

zyje zoiła, bo oto go mówi znów Jerzy Leszczyński w swym kolejnym wywiadzie:

O Jerzym Gruzem mogę powiedzieć samo dobre... Gruza błyskawicznie wchodzi w kontakt, ogarnia ideę spektaklu... „Follow my Dream” nadano kształt impresji-imaginacji związanych z obrazami Jacka Malczewskiego. Nie było tu ściśle zarysowanej — jak w „Malczewskim” — konstrukcji literackiej... Pozostały sceny bardziej dynamiczne, najbliższe w klimacie malarstwa Malczewskiego (vide „Kamena” nr 16 r. 1978).

Zreassumujmy: spektakl teatralny „Malczewski” a widowisko pt. „Follow my Dream”, zrealizowane dla Eurowizji we współpracy Leszczyńskiego z Jerzym Gruzem, to niepełnie to samo.

Nie chciałabym być źle zrozumiana. Wszystko, co napisałam wyżej, ma na celu właściwą recepcję uwag krytycznych, które muszą poczynić w związku z nową inscenizacją TWIR oferowaną publiczności pod szyldem Szekspirowej „Burzy”. Pragnę szczerze, by te uwagi zostały przyjęte jako uczciwa wypowiedź starego przyjaciela cennej lubelskiej placówki, zatroskanego dostrzegającym przechylem jej działalności w stronę „teatru”, gdzie naczelnym zadaniem jest pokaz, nie zaś sama praca artystyczno-dydaktyczna i wychowawcza.

Tendencję ową mogą fatalnie pogłębiać przesady publicity, towarzyszące u nas częstokroć sukcesowi zagranicznemu. A prowadzi ona przezwrotnie do zagęszczania pochopnych prezentacji.

Niestety, zestawiona z „Malczewskim” (nawet tym teatralnym, nie z Eurowizji) „Burza” Jerzego Leszczyń-

Między innymi o smoku złotej rybce czyli o odnowie coraz śmielej

Zbigniew Włodzimierz Fronczek

WPIERWSZYCH dniach po ucieczce Napoleona z wyspy Elby gazety paryskie prześcigały się w miotaniu wyzisków pod adresem uciekiniera. Kiedy zaś na czele coraz liczniejszych wojsk zbliżał się do Paryża — wówczas w reakcjach tych samych gazet sympatia dla wybawcy ojczyzny była coraz wyraźniejsza.

Myślę, że lektura naszych gazet w sierpniu, wrześniu i październiku nie tylko mnie nasuwała podobne skojarzenia.

Słowo „strajk” nie chciało przejść przez gardło, pióro wbijało się w papier i nie chciało przesunąć się ani o milimetr. Mówiło się „przerwy w pracy”. Strajki owszem były, nazywało się je po imieniu, ale te sprzed wojny. Wtedy mogli strajkować, mieli ku temu prawo, tamte strajki były nawet mile widziane. Kutz zrobił film o przedwojennym strajku górników i można było to obejrzeć nawet w telewizji. Teraz w telewizji pokazano w poniedziałek (8.12.br.) widowisko „Smok”. Patrząc i myśląc — skądś niby znam. Śmiać się nie śmieję, bo to raczej w sumie smutne, ponure, groteska przyprawiająca o łzy, a nie śmiech. Niby o nas, a nie o nas. Oczywiście, znam to z życia. Wiodłowski spiker pełen przejęcia niczym Grzegorz Woźniak. Komentuje jak gwiazda warszawskiego dziennika, sprzed września, nie sprzed sierpnia, a właśnie sprzed września.

Pokazanego w telewizji „Smoka” obejrzałem po raz pierwszy w Lublinie, chyba pięć lat temu. Na widowisku wszyscy się śmiali. Bo to było aktualne, tym się żyło. Czekano się na tego, który temu smokowi łby pościna. Miał ich trzy. Dzisiaj myślę sobie, że ten smok ma łbów trzydzieści trzy, a każdy posiada właściwość, że po ucięciu odrasta.

Może nie, chciałbym się mylić. I chyba się mylę, bo nagle się odmieniło. Zażęł. Puściło. Dziennikarze jakby się ocknęli, zyskali na odwadze. Ten i ów porozstawiał kolegów po kątach. Słyszało się: — A nie mówiłem! Przewidziałem, wszystko przewidziałem.

I te słowa powtarzane z mściwą satysfakcją po raz setny, sto pięćdziesiąty.

BZDURA. Nie nie przewidzieliście, baliście się tych słów, których macie teraz pełne gęby. Ciekawe, co przewidzicie teraz? Ile macie wersji, kolego?

Ktoś uderzył się nieśmiało w piersi i bąknął, że nie bez winy. Panowie, kopa w dupę, byliście bardziej papiescy niż sam papież!

Ale teraz już nawet jakby o samokrytyce zapomniano. I może ten i ów żałuje, że się niepotrzebnie pośpieszył,

Tak reagują ludzie. Są niezmienni od wieków. Te same przywary. Historia się powtarza. Sytuacje się zmieniają. Ludzie nie. Dlatego jedno porzekadło można powtarzać przez wieki.

Na łamach „Kamery” opublikowano mi, bodajże w lipcu, opowiadanie. Redaktor Podgórski mówił, że słabe, ale on tak zawsze. Podejrzewam, że nic mu się nie podoba, co opublikują w „Kamery”. Opowiadanie może i słabe, w tej chwili nieistotne. Wymieniłem w nim propozycje końskich imion. Wszystkie skreślono. Czemu? Nasuwały niepotrzebne skojarzenia. Nie opublikowałem ich wtedy, spróbuję przemycić teraz (będę miał satysfakcję, jak rzadko kiedy), odtwarzam więc: Kryzys, Po-

mruk, Bieda, Nędza, Przewrót, Rewolta, Pucz, Bunt, Gniew, Strajk, Strejko, Zemsta, Pomsta, Wyzwisko, Dziadek, Rekrut, Bateria, Pluton, Figa, Krata, Kopniak, Odwet, Siła, Kmicie, Hetman, Drzazga.

Oczywiście, byłem niepoprawny. Z taką ilością słów można byłoby napisać powieść o rewolucji francuskiej, a ja chciałem wszystko zmieścić w jednym zdaniu. Teraz tyle szumu o jedno zdanie. Cóż znaczy jedno zdanie, gdy innym nie wydawano książek?

Piotr Grauman

LIST

Kiedy już tak samotni że aż idą ku sobie
Skradając się nieśmiało pod osłoną powiek
Wiedzie ich błędny ogień co we krwi im płonie
Prowadząc przez czyste gwiazdozbiory snu

Kiedy już tak samotni że chcą od siebie siebie
Wtedy szare powieki pękają na niebie
I płacz zwisa ciężko a potem spada na twarz

Wtedy ja piszę do ciebie...

(Dalsze wiersze na następnej stronie)

Tak, to prawda. „Polityka” na ten przykład opublikowała fragment nie wydanej powieści Brandysa, nawiasem mówiąc znanej do tej pory z wydawnictw, powiedziałbym, niezarejestrowanych...

— Pan to czytał? — pyta mnie sąsiad i wymachuje „Polityką”.

— Już dawno — odpowiadam.

— Od dawna pana podejrzewałem, że pan musi mieć kontakty — mówi głosem pełnym żalu. — To pan pewnie i o Miłoszu wiedział wcześniej?

Tak, ma do mnie żal. Zupełnie jakby przeze mnie był skazany na czytanie książek Zięby, Welny i Kościńskiego.

Czasy jakby się zmieniły... Satyrycy na przykład zmienili programy, bo to, co mieli w repertuarze, nagle się zdezaktualizowało. Sami nie mogą się nadziwić, na swój sposób pracę mieli lekką, program złożony kilka lat temu z upływem czasu nie tracił na aktualności, lecz wprost przeciwnie, był coraz ostrzejszy, pikantniejszy, bowiem kolejni przed sklepami się wydłużali, po mieszkania również, zresztą przybywało nowych, ludzie zaś popełniali błędy, kraj pogrążał się w długach, a my ciągle byliśmy na najlepszej drodze. No nie, literatura polska była w stanie kryzysu, to mógł zauważyć każdy. Teraz jednak okazało się nagle, że nie jest wcale z nią źle. Istnieje i ołbrzymia grupa pisarzy na emigracji. Na razie odkryliśmy Miłosza. Kto następny?

I jeszcze jedno wyjaśnienie. Pisząc „satyrycy”, mam na myśli dobrych kpiarzy, tych, co wiele potrafią zauważyć. Nie może tu oczywiście chodzić o p. Mirosławę Knorr. Istnieje satyra i satyrka. I ta bawi, i ta, różnica między nimi jest jednak dostrzegalna.

Satyra satyrą, a tu o naprawie trzeba myśleć, wyjść z kryzysu, odzyskać zaufanie.

członek świadczący o jego męskości dłuższy był od nóg. Właściwie nie trudnego. Gdy się obudził, miał odpowiednio krótsze nogi.

Trzeba liczyć na siebie. Zabrać się do pracy. Mamy dobre hasła. Zbudujemy drugą Polskę, Polak potrafi. Mamy odznaczonych orderem Budowniczych Polski Ludowej. Posiadamy wreszcie niezłą dokumentację: zdjęcia wykwalifikowanych fachowców na koparkach i sychaczach, zdjęcie Gomułki odsypującego śnieg w gomułkowskiej ziemle stulecia, wreszcie zdjęcie Gierka (w Lublinie, na Placu Litewskim) nasypującego łopatą pierwszy lubelski węgiel.

I znów nawoływania, że trzeba zabrać się do pracy.

Co odkrzykną? — Chłopaki, chciałoby się zawołać, bo gdy zawołam „rodacy”, to będzie zbyt patetycznie, a tego ludzie nie chcą słuchać, więc już nawet nie „ludzie”, ale zwyczajnie: chłopaki, nie plećcie bzdur, bo pomyśla, że nie pracujemy.

Tak, czasy nie najłatwiejsze.

Zaopatrzenie słabe, nakłady książek małe, gazet nie ma. W empiiku, co prawda, leży „Tygodnik Zamojski”, ale zakryty innym pismem. Widać tylko winietę. Pani zza lady nie pozwala obejrzeć — bo jasne, że gdy kto obejrzy, to nie kupi. Jak nie obejrzy, to może kupi. Kota w worku.

Ale ja na to nie reflektuję, więc się nie dowiem, który pegeer może mi zaofertować 150 metrów kółczastego drutu.

Zresztą, co to ogrodzić 150 metrami?

— Panie redaktorze Żelazny, proszę nie uciszać, nie gestykułować, papier wszystko udźwignie, ustrój się od tego nie zawałi. Wiele jeszcze wytrzyma. Proszę się zapać, redaktorze Żelazny, rozumiem młodość, zdrowy, ożywczy podmuch jesiennego odwilży. Dlatego rozpięty płaszcz. Proszę się jednak nie



Rys. Z. Pytlík

— Kto pomoże?

— Złota rybka!

Niestety, karpi wylawiamy coraz mniej, więc możliwość odnalezienia wśród nich złotej rybki coraz mniejsza, z zagranicy ryby przyeżdżą już w puszkach, jeśli nawet się trafi złota rybka, to nie po takiej. Jest różnica między żywą rybką, a taką w sosie pomidorowym, czy w oleju... Nagle grucnęła wieść! Jest! Udało się złowić! Niestety, szczęśliwiec w pierwszej kolejności pomyślał o sobie. Zażądał, by

narażać, trzeba na siebie uważać, zdrowia nikt nie zwróci.

PS. Jak długo może trwać odnowa? Obecnie rozpoczyna się w Warszawie odnowa Hotelu Bristol: nikt się nie kryje, że ta odnowa będzie kosztować więcej niż wybudowanie nowego. Ale przecież pozostają sentymenty.

Grudzień 80

MAM oczy, usta, nos. Włosy opadają na czoło i ramiona. Śmieję się. Nie. Nie śmieję się. Kto powiedział, że śmieję się jak on? Śmiejesz się, jak twój ojciec. Ktoś, kto znał nas obu. Byłbym szczęśliwy na jego miejscu. Tylko człowiek może zobaczyć, zapamiętać, porównać, przekazać. Relacje, może nie by nie wynikało? Więc kiedy się śmieję, przypominam jego. Rozchylone wargi, oczy w zasadzie nieruchome. Zmienia się oprawa. Nabierają ciepłego blasku. Jesteś krok i otacz. Oczy szkliste. Gdy płacze, też on? Lusierko, oprawa, szkło z odbijającą substancją po drugiej stronie. Lusierko, lu-lulu-ster-ster-anatolustern-ko-kogut-kopa-kolasa-kollataj-kołobrzęj-koniec. Ko-niec A brwi i oczy? A nos? A uszy, nos i uszy. Tylko dwa... Po co siedział? Jeszcze nie wiedziałeś o mnie? Jeżeli wiedziałeś, byłeś...duralem. Pustym dziewiętnastoletnim gówniarzem. Jeżeli nie. Zapomniał matkę. Nie powiedziała przez tyle lat. Boli? Męczy? Drażni? Tak lepiej. Im mniej znam, tym piękniejszy. Z braku realiów — na granicy marzeń i rzeczywistości. Powiedziałeś szczerze granicę dawno przekroczyłem. Ale to między nami. Mniejsza o fatalne skutki i koniec, który raptorem może wyprysnąć. Postąpiłeś lekkomyślnie. Logicznie — lekkomyślnie. Przyznał, kochałeś góry, z one cie pożarły. Podejrzywałem, że po zejściu nawet nikt się o ciebie nie wykiłcał, sprawa oczywista, e-widen-tna. Chciałeś. Naprawdę nie wiem. Moja matka była piękna, znam próśność tego wieku, mogłeś czuć się dumny. Więc dlaczego? Nie, nie. Nie wypadek, dlaczego kierownik do matki, od ciebie wszyscy uciekają. Uciekła. Nie wierzę, że stehoczyleś, wystarczy spojrzeć, świadomie poszedłeś, celowo, może nawet na złość, przez przekorę. Nie miałeś po co wracać? Przecież stawałem się, nie wiedziałeś? A może wygodniej w ten sposób, nie chce sędzić nawet gdyby był winien, nie chce. Potrafię zrozumieć. Dużo, i może wybaczyłbym, gdybym wiedział, Tobie tak! Jeżeli celowo — popełniłeś trzy błędy: zostawiłeś Matkę, matkę, zabiłeś siebie. Taki nierozsądek jest przywilejem, mógłś być! Niekoniecznie dla mnie, ale, duma? Rozwiązanie spraw z najszerszym gestem? Jaki gest, nacytales się książek, naoglądałeś filmów. Była kiedyś moda. Zeby komuś (komu?) pokazać (co?), strzelano sobie w łeb. Wyrzekłbym się! Nikt nie lubi ostrych konturów, wybiera mgiełkę. Czy ja w podobny sposób? Mam Lil, miałem Lil, powiedzmy mam. Odechodzę i rzucam się ze skały, filozofia, raczej bezmyślność. Nie, nie robie tego w żadnym wypadku, jestem starszy o pięć lat i nie rzucam się. Gdyby syn, tym bardziej. Mam doświadczenie, którego tobie nikomu nie starczyło. Mając dziesięć lat, bytem starszy od ciebie. W twoim wieku kieruje się impulsami. Odejście ma sens, kiedy inaczej nie można, a „inaczej” z perspektywy dziesięciu lat wygląda o wiele mniej interesująco. Powiedziała: Idź precz, mam drugiego? Jesteś głupi? Oddała się innemu, wiedziałeś? Popchnięcie gwalt i starczyło sil, by zabić tylko siebie? A może jesteś starszy ode mnie o 40 lat. Może nie wiem, nie mogę nawet przypuszczać, matka szanowała cie. Nie mówiła o tobie, nie pozwalała innym mówić. Jesteś ponad i to również za jej przyczyną. Nieobecny, niemy, przytłaczający każdym jej spojrzeniem, kiedy zechce. Oczywiście, przesada, cień, szanuje milczeniem, dlaczego? Mnie nie kocha, jesteśmy podobni może, wzbudzasz szacunek mimo niechęci? Chyba rzeczywiście zagalopowałem się, milala ich, nie wiem, czy to była zemsta, ale nie dała szczęścia żadnemu, sama też go nie czerpała. Plugawe, nijakie, a nad tym ty. Właściwy wymiar. Może ja, może jej, bo żyje, a ty gdzieś tam do rozpuku, oboje jesteście. Miałbym być kontynuacją? Przecież musi być we mnie jakaś iskra, punkt jasny, okrucieństwo, nie mogę się rozwijać tylko przez negację waszych parszywych i brudnych! Znales

Chopina, przynajmniej zaczątek musiałem mieć piękny, poswiadek, trzy fotografie, twarz, półzłotki, nieprzeniknione, poswiadek, nie się nie da z nich wycisnąć. List choć jeden, miałeś przyjać, poszedłbym. Czuję się wyprany, zmarło wydarzenie, wszystkie drogi prowadzą do nikąd, lepiej zostawić czas w spokoju, niech się bedzi. Biorę cie tylko dla siebie: bądź piękny, jesteś mi taki bardzo potrzebny. Muszę się przecież od czegoś zacząć, muszę patrzeć prosto w oczy, stawiać czoło w imię siebie, tego, co za mną i co we mnie. Inaczej byłbym tylko zwykłym kundlem! Nie chcę zebrać o przypadkową dobroć i litość. Chcę walczyć. Zrozumiałem teraz mój ojciec.

Ranek świeże powietrze. W góry mi. W góry tak bardzo chce mi się jechać. Chłód wcfagany głęboko w piersi, zapach jodeł, kosodrzewiny i oto staje się, wierzę, że mógłbym spotkać na ścieżce Leśmiana. Iść zygzakami w chmury, iść w niebo. Kamienna pustynia z częścią drzewek i traw szu-

To ja

Adam W. Kulik

kających słońca przez dziury w asfalcie obezwładnia dosadnie: czasem już godzę się, wydaje mi się, że powinienem zostać, gnę powoli oszukując wszystkich, a przede wszystkim siebie. Usprawiedliwiając swoją nędzę (żeby nie wszystkie dni były stracone), pracuję. A kiedy popatrze na zapisane karty, ogarnia mnie szal, całowałbym brudny, wymiętoszony papier. I już lepiej, nie wyzera mózgu nostalgia, łapię sens; maluję swoje smieszne dni. Cisną się słowa a miłości wcale nie wielkie, pragnienie podania ręki Whitmanowi, który — wierzę — czekał, ogarnia mnie żądza włożęgi, żeby tak iść, i iść, i czuć się wszędzie w domu na tej biednej zakurzonej starej Ziemi, przyglądać się kamieniom i wodzie w jeziorach, póki nie straciły nazwy ani prostoty, ciesząc się przepastnym widokiem z granicy widzenia i poznawania — jeszcze mogę jak Grecy, jak wojowie słowiańscy, jeszcze czas. Zbyt sztywne więzy muszą kłopotować, a utrzymywane sztucznie, okazać niedoroslými, jak niedoroslý okazał się podział na plenioma.

— Powiem.
— Oj ty nie mów!
— Dlaczego? Mielimy rozmawiać, mogłś się przygotować, wiedziałś.
— Ty! Nie mów.
— Zrozum, że nie na złość, oczekuję czegoś, chce poznać, liczę na, jeżeli teraz nie porozmawiamy, nigdy w życiu może się nie zdarzyć (dar, naprawdę dar!).
— Ty jesteś niemożliwy! Ty jesteś, jesteś człowiek tragiczny.
— Nie myśl, że nie zastanawiałem się nad samotnością i bólem, jaki niesie, nad obszernym, pierwszym poznawaniem i nieustanną obroną siebie, zmęczeniem, nie myśl, że nie wdziałem szansy wyzwolenia — nie wykwiłaby obłędem, nie drażniła świadomości krzyku, który jest tylko krzykiem w noc.

Wystarczy krok. Niewielkie przechylenie ciała. Gwiazdy, szum nad miastem, ul, gwiazdy rozpalone przez człowieka. Wśród, wielu prawd (prawd?) żyja. Suteń gwalcí prostytutki lufa odbezpieczonego rewolweru, a ona wciął ni to uczucie, ni przywiązanie, posłuszeństwo psa, pe-kute miészczki, napociwszy się nad stołami por-

nograficznych czasopism, palą je czym prędzej, żeby nie zgorzyc dorastających córek, milionerowi przysiano ucho porwanego syna, literat, propagujący demagogię jednego z kilkudziesięciu tysięcy rządów umorusanej Ziemi po otrzymaniu wysokiej nagrody pieniężnej, dwóch medali i trzynocnych rozmyślaniach, szepce: jestem wielki, umiera nędzarz, po pięćdziesięciu latach jeden z kraków przypomina sobie, że zapomniano biedakowi przyznać trzech tytułów honoris causa, pięciu medali i rancha w dożywocie — dobrze czuł się w kieracie, pociągnąłby jeszcze z pięć lat, więc chociaż naprędcie z pięć pomników, przy okazji wiele korzyści społeczno-gospodarczo-polityczno-naukowych, córy w ekstazie tańczą nago na stołach, podglądane pozadliwie przez opastych burmistrzów od dołu przez okularki w złotych oprawach, staruszek profesor w wielkim podnieceniu duchowym kończy ostatnie rozdziały pracy, biblioteczki przybędzie jeszcze jeden szpargał zajrzy do niego jeden student — systematycznie raz na pięć lat, w podzwrotnikowej dżungli hoboty z karabinami poluje na ludzi, trzech żołdaków gwalcí murzynkę, umiera człowiek, jak trudno rozstać się, wiedząc, chłopak porzuca dziewczynę, otdąd będzie niosła przez całe życie zapach nocy, kiedy pierwszy raz, umiera człowiek, żeby już prędzej, czekają sepy, mężczyzna uprowadza dwunastoletnie dziecko, po dwóch latach wychodzi na ulicę, rodzi drugie, trzecie, duma prowincjonalnego malarzyny, kierownika, urzędnika, portiera, szofera, kasjera, dyrektora pododdziału i wydziału, babel kłozetowej, sprzątaczkí, panienki z recepcji, taksówkarza, traktorzysty, sklepowej — wszystkim im każe pogardzać ludźmi, o północy przechodzi człowiek koło dziesięciu miejsc, gdzie inni oddali życie Bogu, własnej nieprzezorności, człowiekowi, modli się o bodaj światelko w oddali, mam to! Mam! I już wymyka się, gi Don Kichocie, hej! w szpitalu wariatów modne, mam? królestwo? Oto twoje królestwo panie, witaj. Bądź dla nas dobry, panuj w zdrowiu i sprawiedliwie. (patrzcie! patrzcie! na mnie, na to wszystko!). Niech twoja mądrość i dostojenstwo rozjaśni tej kraj. Chachacha.

(fragment powieści)

Sądząc z zapowiedzi autora, książka jest pierwszą częścią dłuższego cyklu, mającego ukazać formowanie się psychiki młodego inteligenta. Zamyślenie jest ciekawe, zresztą z dużymi tradycjami — od Parandowskiego, Zegadłowicza i Peipera poczynając. Proza tego rodzaju (która, jak mi się wydaje, będzie wkrótce przeżywać swój renesans) opiera się na prezentowaniu bodźców i reakcji bohatera. Sama fabuła odgrywa w niej mniejszą rolę. Jeśli idzie o Kulik, to owej fabuły wrecz wcale nie ma, co jest mimo wszystko zabiegłem dość ryzykownym; gdyż książce brakuje odrobiny napięcia dramatycznego. Lecz nie o to szło przecież. Napięcie jest tutaj budowane przez kontrastowanie określonych „klimatów” duchowych, np. „miłości” wulgarniej i uduchowionej. Erotyka zajmuje przy tym znaczną część książki, co zresztą odpowiada przedzie okresu dorastania. Mniej pewien jestem przydatności retrospekcji dziecięcej bohatera, co ma chyba w zamyśle uzasadnić jego rozstrzeżenie wewnętrzne i bebecho-wałość, za mało przy tym „przygody uduchowionej” z książką, obrazem, jakąś ideą, która przecież w krajobrazie duchowym młodego studenta powinna zajmować miejsce niebagatelne. Same kłopoty „bytowe” i doznania erotyczne nie akcentują jeszcze interesującej mentalności. Autor wymienia wprowadzić wiele książek, ale z samej, cóż że impontującej, listy niewiele dla nas wynika. Bardzo godna uwagi jest strona stylowa, wklkająca nurty narracji, od-dająca bieg skojarzeń.

Piotr Kuncewicz

Piotr Grauman

USTA

To my:
Pożeramy pierwszego czerwonego ptaka
który przylatuje o świcie i siada u twoich drzwi
By nie zagnieździł się swym wzrokiem i krzykiem
w twym oku i uchu
Chronimy twe białe niebo przed skrzydłami krwi

To my:
Polykamy to rozjarzone słońce twego snu w samo południe
By jad nie zbrukał ciemności i nie wsączyl się w mózg
By umarłe umierało na jawie
by żywe żyło we śnie

To my:
Dbamy o to by jasne pozostało w jasnym
O to by ciemne nigdy nie ujrzało ciemności
By życiem było życie
by śmiercią była śmierć
My:
Znudzony psy
Strażnicy nocy

SMIERTELNIE NIEBIESKO

Wszystkie nagrobki są w nas
Jak dym
Z nie wyrzutyłmi jeszcze napisami

Życie jest raną — mówisz
Krew jest wieczna

Jak bezsenność w naszym czuwaniu
Jak czyjś oddech w naszym oddechu
Jak w placzu dziecka wycie psa

Życie jest bliźną — mówisz

Jesteśmy złyimi uczniami płomienia:

Porazka nauczyła nas dymu
Zgoda uczyniła nas niewidzialnymi
Nasz żal skrapla się na niebie
i spada z każdym deszczem

Jest w nas tyle wiedzy
Jest w nas tyle czasu

Ale zasłona spada na naszą chybną śmierć
na nasze niechybne życie

Ciało tylko trwa

Trzaskają drzwi i okna
Ktoś weszły w ciemności
Lecz dom na wietrze spi

I otwarte się nie otwiera
I zamknięte się nie zamyka



„Zrodła”

Kolumny redagowali: Jerzy Krzysztof Misiec, Waldemar Żelazny, Stanisław Żurek.

POCZTA literacka



Juliusz W. Warszawa. Z nadesłanych utworów na uwagę zasługuje jedynie „Z suflady balkonów”. W tym „mocu” metaforyzowanym wierszu, sytuacyjnie opartym na widoku rozciągającym się z balkonu, mamy jednak zbyt duże nagromadzenie oderwanych, a niekiedy wykluczających się obrazów: burza (w łęczowych rajstopach) i jednocześnie w tym samym planie harcerze malujący trawę na zielono. Nieważne wszak, czy realia są prawdziwe lub sprzeczne, w końcu takie są prawa fikcji. Jak jednak usprawiedliwić żywot takich personifikacji jak otwierający utwór wiersz „miasto się do mnie uśmiecha mostem”, byłoby to do przyjęcia w utworze surrealizmem, ale nie tutaj, gdzie wszystko oparte jest, aż do przesady, na realistycznej obserwacji.

Kazimiera B. Kielec. „Nazwał Pan neologizmem („Kamena” nr 23) słowo „kresomózgowie”. Może Andrzej K. rzeczywiście wymyślił to słowo, nie wiedząc, że takie już istnieje. Kresomózgowie to część mózgu występująca tylko u zwierząt niższych (u ssaków nie) związana głównie z węchem. Patrz: Kreiner, „Biologia mózgu”. Dziękuję za poprawkę i informację. To tylko dodatkowy argument, że Pan Andrzej K. powinien, pisząc utwory poetyckie, niniejszą do anatomii, a więcej do imaginacji.

Zygmunt P. Słupsk. „Przychodzę z głębokiej mgły, na arenę rzeczywistości”. Pozwól Pan, że te informacje są dla mnie przydatne, gdyż nie widzę, aby w literaturze, przynajmniej w tym, co Pan obecnie nadesłał, ponieważ to ja jestem sprawcą debiutu, czuję się niejako odpowiedzialny za to, co nastąpi potem, toteż kategorycznie postuluje: precz z tymi obrazami, które stawiają na „analogii” „blatorozpostarta” czy „złoty wbiłany w dupę”! Zablił mi Pan teglego ćwieka... Radzę ochłonąć po debiutowym sukcesie, nie pisać na siłę i nie liczyć na renowację autora, który już drukował.

Bożena M. Niemce. „Od lat pięciu jestem meżatka, od lat dziesięciu, piśzę wiersze. Dla mnie to poezja to najcenniejsza rzecz, jaką posiadam. Do tej pory nie pisałam nigdzie i do nikogo. Pragnę dzielić się swoją poezją, pragnę pokazać ją ludziom — chciałabym dać im trochę uśmiechu, trochę zadumy i trochę dobrych kojących łez”. Piękne jest to ostatnie zdanie. Więcej w nim poezji, niż we wszystkich wierszach dołączonych do tego listu. Wydaje mi się, że wiem, dlaczego treść listu jest piękniejsza od wierszy — bo list pisze się szczerze, bez silenia się na „oryginalność” i wyszukana formę. Wszystkie pryska, gdy sięgniemy do wierszy, nie mających tu — proszę mi wybaczyć — nic wspólnego z poezją. Ale z całą powagą i odpowiedzialnością piszę Panu na poetkę. Cechuje Pana poetyckie widzenie i przeżywanie świata, wrażliwość i spontaniczna emocja. Iuż ludzi, mających te same skale wrażliwości, nigdy nie dowiódł, że byli poetami, choć nigdy nie napisali ani nawet nie próbowali napisać jednego wiersza!

H. P.

PODOBNI jak niestereotypowa bywa droga do zawodu iluzjonisty, tak też na ogół w niepowtarzalny i niekiedy wręcz przedziwny sposób rodzą się pseudonimy sceniczne czy arenowe przedstawicieli tej profesji.

Najdłużej czynny w tym stosunkowo rzadkim w Polsce zawodzie Józef Bogdan Czerniawski — urodzony 18 marca 1907 r. w Sierzucinie k. Tarnowa, z wykształcenia urzędnik finansowy, mieszkaniec Bydgoszczy, od niedawna na emeryturze — przystąpił do iluzjonistów „Aristo” 11 stycznia 1925 r. w Tarnopolu, gdzie jako uczeń klasy VI dał pierwszy publiczny spektakl dla młodzieży Bursy Towarzystwa Szkół Ludowych i to od razu w trzech aktach. Taki na polu „arysto”-kratyczny pseudonim wybrał dla początkującego prestidigitatora jego nauczyciel języka greckiego, w którym słowo „aristo” znaczy „najlepszemu”.

Wszelako sam „Aristo” jest z natury raczej skromny i za najlepszego iluzjonistę polskiego Drugiej Rzeczypospolitej uważa swego mistrza „Bosco” (w piśmowni czasem także „Bosko”; prawdziwe nazwisko Józef Pokrywka), urodzonego w 1877 r. w Winiarach, który w 1904 r. występował m. in. w teatrze lubelskim. Zapewne jest to osąd dość subiektywny, podyktowany głównie wdzięczną pamięcią ze strony ucznia, co nie znaczy, iż daleko mijający się z prawdą. Był „Bosco” bezspornie dużej klasy artysta iluzji, o czym zadecydowały zwłaszcza jego umiejętności. On to wpierw zafascynował czternastoletniego chłopca swymi występami iluzjonistycznymi w Nowym

Targu i Zakopanem, a następnie przysposobił do uprawiania nietłatwej profesji.

Od czasu swego debiutu upodobał sobie „Aristo” pełnoprogramowe koncerty iluzji. Jako wykonawca recitalowych spektakli przy końcu lat 40-tych współpracował z różnymi okręgowymi ekspozyturami „Aristo”, a także później — co zresztą trwa w ciągu dalszym — nie stronił nigdy od kontraktów z agencjami artystycznymi w Bydgoszczy, Poznaniu, Sopocie, Koszalinie i Szczecinie. Najmilsze wspomnienia wią-

Aristo

że on z rokiem 1955, obfitującym w zjazdy polskich iluzjonistów zawodowych: najpierw w Katowicach, potem w Warszawie i wreszcie w Łodzi. Na wszystkich tych zjazdach występował, przy czym jego numer zamykał każdą imprezę.

Z wiedzy, pokąsnego bagażu doświadczeń oraz rekwiizytów magicznych „Aristo” skorystali stawiający w swoim czasie pierwsze kroki w zawodzie m. in.: „Jur” (Jerzy Strzelecki), „Marlicz” (Ryszard Rotler) i „Sataniano” (Adam Banaszkiewicz) — dzisiaj wszyscy wysoko nosowani iluzjoniści profesjonalni i jego młodzi koledzy z KRAI.

KRONIKA

● Minęło 35 lat działalności Towarzystwa Opieki nad Majdankiem, które powstało 12 grudnia 1945 r. Organizacja liczy ponad 5 tys. członków, skupionych w kołach i oddziałach na terenie całego kraju. Towarzystwo pomaga byłym więźniom obozu, prowadzi działalność naukowo-wychowawczą i wychowawczą.

● 12 grudnia odbyło się spotkanie aktywu partyjnego uczelni i innych placówek naukowych Lublina z członkiem Biura Politycznego KC PZPR, wicepremierem Mięczyńskim Jagielskim i zastępcą członka Biura Politycznego KC, i sekretarzem KW Partii Władysławem Kruklem. Poruszono wiele ważnych spraw nauki i polskiej demokracji.

● Przedstawiciele Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego — prof. prof. Irena Sławińska i Jacek Woźniakowski — uczestniczyli w uroczystości wręczenia nagrody Nobla Czesławowi Miłoszowi. Jak wiadomo, poeta otrzymał niedawno doktorat honoris causa tej uczelni.

● Maria Bechzyce-Rudnicka została członkiem honorowym Międzynarodowego Instytutu Teatralnego (ITI). Serdecznie gratulujemy.

● Nagrody kulturalne Lublina na rok 1959 otrzymali: Bronisław Hamaluk, Rena Mołdeńska, Henryk Pajak oraz Instytut Wychowania Artystycznego UMCS, Orkiestra Dęta Technikum Kolejowego, Państwowe Muzeum na Majdanku, Teatr Lalki i Aktora im. Ch. Andersena. Nasze gratulacje.

● Kilka nowych trolejbusów radzieckich otrzymał Lublin, co w jakimś stopniu może i polepszy warunki komunikacji miejskiej, nadal bardzo trudne.

● Przy ul. Dąbrowskiego 8 w Lublinie otwarto „Antykwariat Współczesny”, w którym można nabyć lub sprzedać książki wydane po roku 1945, także podręczniki szkolne.

● W tajnym głosowaniu wybrano nowego przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej Lublina, którym został Wacław Rzesutko, bezpartyjny, były długoletni wiceprezes LSM.

● Gospodarka lubelska straciła w tym roku 478 mln zł, ponieważ 19 przedsiębiorstw nie wykonało planu sprzedaży. Największy udział w tej kwocie ma Fabryka Samochodów Ciężarowych: 311 mln zł.

● 7 tysięcy „filtrów” do sztucznych nerek, produkowanych na licencji włoskiej firmy „Belleco”, dostarczył w tym roku krajowym ośrodkom nefrologicznym lubelska „Polfa”. Będą to jeszcze rzeczy montowane z elementów dostarczonych przez stronę włoską. Z czasem produkcja oparta zostanie na podzespołach wytwarzanych na miejscu.

● Piotr Kmiec z Nałęczowa brał udział w wartościowej wystawie ogólnopolskiej

„Aristo” utrzymuje, iż nie można być iluzjonistą, jeżeli nie dysponuje się odpowiednią doraźną inteligencją. Cynizm przy tym takie zdania Maurycego Maeterlincka: „Inteligencja jest to zdolność, przy pomocy której pojmujemy ostatecznie, że wszystko jest niemożliwe”. Dlatego też odpowiadał mu występy w środowiskach inteligencji. Piszący te słowa był naocznym świadkiem, kiedy to w 1973 r. w sali widowiskowej „Chatki Zaka” w Lublinie, akurat na swój złoty jubileusz, „Aristo” dał z górą godzinny pokaz iluzji — i tej dawnej, i tej na wskroś modernistycznej — dla publiczności złożonej wyłącznie ze studentów miejscowych wyższych uczelni. Występ ten od początku do końca był autentycznym sukcesem. Zaczęły tu trząść, iż naprawdę nie jest dziś łatwo zadowolić widzów, szczególnie, gdy liczy się już 68 lat.

Wspomnijmy jeszcze, że na pierwszej stronie okładki jednego z programów artysty znajduje się oryginalne godło mistrza „Aristo”, zaprojektowane przez toruńskiego artystę-plastyka i fotografa w jednej osobie, Leandra Gardmelewskiego. Przedstawia ono tyłwiec pierwszego w świecie polskiego selenonauty — szesnastowiecznego, legendarnego, chciałoby się rzec, sztuk-mistrza Twardowskiego na Kłępcy.

Własna niebanalna kompozycja iluzjonistyczna pt. „Twardowski na Kłępcy” oraz celny, ładny i — co tu ukrywać — bardzo polskim godłem utwierdził „Aristo” trwanie tej enigmatycznej postaci w bogatej historii polskiej sztuki iluzji — historii, której Twardowski dał początek.

Marek Zdrojewski

„Rysunek i obraz” w Krakowie (BWA), gdzie pokazał 9 „rysunków” i 4 duże prace malarskie z cyklu „Droga”.

● „Sztuka lat siedemdziesiątych” — pod taką nazwą odbyło się w grudniu w lubelskiej galerii „Labyrinth” dwudniowe sympozjum, w którym uczestniczyli znani krytycy sztuki i artyści.

● 14 grudnia Teatr im. J. Osterwy w Lublinie wystąpił z premierą sztuki dla dzieci „Królewna śnieżka” wg baśni braci Grimm, adaptowanej na scenę przez J. Rakowieckiego i J. Wittlina. Autorem inscenizacji był J. Rakowiecki, reżyserem R. Kruczkowski, scenografem A. Kilian, zaś muzykę skomponował J. Dobrzański, opierając się na motywach melodii z filmu „Królewna śnieżka”. A informujemy o tym wszystkich tak szczegółowo, ponieważ przedstawienie cieszy się niezwykłym powodzeniem u młodej publiczności.

● Społeczeństwo Lublina pośpieszyło i pomocą ofiarom trzęsienia ziemi we Włoszech, zbierając dużo odzieży oraz pieniądze, które przekazano za pośrednictwem „Solidarności”.

● Maria Anto z Warszawy pokazała swoje metaforyczne malarstwo w sali lubelskiej BWA. Nastrojowe obrazy znanej artystki spodobały się na pewno tym, którzy szukają w sztuce wartości kompensujących nudę codzienności.

● Z przyjemnością informujemy, że rybakujący nierządnie dla naszego piśnia Andrzeja Kot został przedstawiony jako grafik na łamach 5 nr czasopisma „Projekt”, tytułu o bardzo dobrych notowaniach w środowisku artystycznym.

PRZED 50 LATY

● Na Krakowskim Przedmieściu uzbierało kilku ulic pobudowano cementowe podwyższenia. Myśl budowy tych podwyższeń była prawdopodobnie ta, żeby na nich mogli pełnić służbę policjanci dyżurujący na zbiegach ulic. Podwyższenie takie jest m. in. u zbiegu Krakowskiego Przedmieścia i Chopina. W pierwszych dniach po wybudowaniu tego podwyższenia stał na nich posterunkowy, regulujący ruch uliczny. Ostatnio podwyższenie jest puste. Na jedno cheemy zwrócić uwagę, jeżeli podwyższenia te budowano, to trzeba było wybudować je nieco wyżej. Obecnie, kiedy nie ma policjanta, podwyższenie to, zwłaszcza wieczorem, staje się zasadzką dla pojazdów, a nawet przechodniów. Było już nawet kilka wypadków, że ludzie, przechodząc tędy, potykali się i upadali. Nocy wczesniejszej wpadła na podwyższenie takówka i poważnie się uszkodziła. Najbliższa lampa nie daje odpowiedniego światła, w tych warunkach może dojść nawet do poważniejszych katastrof. Sprawa ta winny zająć się władze miejskie i bezpieczeństwa publicznego.

● Kino-teatr „Corso” w Lublinie przygotowuje dla miłośników X Mury niebawem sensację, połączone z prawdziwą uroczą artystyczną. W najbliższych dniach ukaże się na ekranie tegoż kina w dwukolorowej wersji prawdziwe arcydzieło, ośmiennajęzyczny i słuch pt. „Król Jazzu”, którego wyświetlanie w wielu stolicach świata nabrało ogromnego rozgłosu. Bogaty program tego śpiewnego dwukolorowego rozczarza przed oczyma widza kalejdoskop piękna melodii barw i pomysłów oraz ogromny przepych wystawy. Melodie, jak „Czar ślubnego wianu”, „Laweczka w parku”, „Białka rapodia”, „Pieśń do Słońca” i wiele innych z tego filmu z-

skąły sobie rekordową popularność. Nie wątpiłwie cały Lublin pośpieszy zobaczyć i nacieszyć wzrok i słuch „Krolem Jazzu”, bijącym wszystkie rekordy kinematografii dźwiękowej i światowej sceny. Dyrektorka kino-teatru „Corso” zakontraktowała również najpiękniejszy film świata, a mianowicie dwukolorowe „Neapol śpiewające miasto” z Kiepurą, który wyświetlany będzie w Lublinie równocześnie z Warszawą.

● O nieporządkach w urzędzie pocztowym nr 1 pisaliśmy już niejednokrotnie. O tym jednak, jak władze tego urzędu przejmują się skargami interesantów, świadczy coraz to nowe „kwiatki sprawności”. Po pierwszym każdego miesiąca przy okienku gromadzi się zazwyczaj większa ilość wptających. Interesanci czekają w długich „ogonkach” niejednokrotnie po kilka godzin. Nie wstruwa to zupełnie urzędującego pracownika. Zdarzają się nawet takie fakty, że gdy przed okienkiem czeka cała gromada interesantów, to urzędniczka najspokojniej przerywa przyjmowanie blankietów i zabiera się do podsumowania swoich list. Czy czynność ta odbywać się winna w czasie urzędowania przy okienku, czy dopiero po jego zamknięciu? Gdzie jest kontrola? Przecież czas jest dla każdego drogi. Nie wolno również nadużywać cierpliwości interesantów. Pocztą jest dla wygody publiczności, a nie odwrotnie. W innych miastach, gdy ruka jest duża, otwiera się drugie okienko. I w Lublinie należałoby w ten sposób podnieść sprawność poczty.

„Głos Lubelski”

Wybrała:

Anna Orzechowska

POLEMIKI

Skutki czytania na cztery ręce

OMAWIAJĄC moje omówienie powieści Jerzego Krzysztonia „Obłąd” („Kamena” nr 20), Bohdan Królikowski („Kamena” nr 24) pyta, czy nie byłem nigdy świadkiem i uczestnikiem dysput pijackich. Postawiwszy to pytanie, prosi za zastosowanie chwytu niżej pasa. Przeprasza niepotrzebnie. Nie jest to chwyt niżej pasa, jest niżej sensu. Złej książki nie zmienię fakt, że pijący bełkoczą. Jak również nie zmienię, że Królikowski był w szpitalu wariatów. Sam daje przykład rozumowania typu: „słońce świeci, więc Warszawa leży nad Wisłą”.

Pisałem, że „Obłąd” jest powieścią robiącą miny, wykonującą gesty, przybierającą pozy. Pisałem w oparciu o tekst. Jeśli się powiedzenie Seneki przypisuje Marekianowi, centuriona uważa się za szeregowca, w usta emerytowanego kolejarza wkłada cytaty z Schopenhauera i jeszcze tam kogoś (nie będę ponownie czytał tej niybypowiedzi, żeby przytoczyć dokładnie), nie jest to tylko niewinny lapsus erudycji i przesada w „oryginalności spojrzenia”. Pierwsze dwa to kixy, których łatwo uniknąć nie wchodząc na teren, sobie nieznaną, trzecie to „literatura”.

Nie pisałem, jak sobie wyobrażam „Obłąd” optymalny, bo to moja sprawa prywatna. Pisałem, w czym „Obłąd” rzeczywisty rozmija się z humanistyczną rzeczywistością i charakterem powieści przekonywającej akcją, problemem, charakterami, sposobem ujęcia. Ze „Obłąd” jest pełen pozorów, Królikowski dał się na nie złapać, czemu nie dziwić się zresztą. Sam przyznaje, że w czasie czytania książkę wyrwała mu z rąk córka, a on wyrwał córce. Istotnie, nie są to warunki dla uważnej lektury.

Zygmunt Mikulski

